2
Rok XVI
(791)
CENA 1.50 ZŁ
14. 1. 73

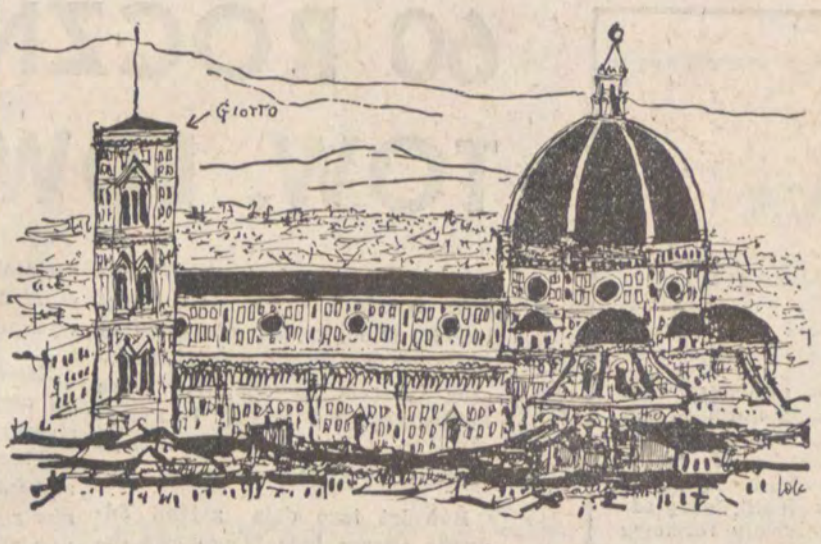

WACŁAW KONDEK

GIOTTO I DOLARY

Korespondencja z Włoch

Czytaj na str. 7

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

2 KROKI OD SZCZĘŚCIA

Dostałem polecenie, żeby zrobić reportaż z niedzielnej giełdy samochodów.

Przepraszam bardzo, dlaczego akurat ja? Przecież nie mam nawet prawa jazdy. Z trudem odróżniam „Syrenkę" od „Trabanta", a karburator i wał korbowy są dla mnie pojęciami abstrakcyjnymi.

Podsłuchując kawiarniane rozmowy różnych zmotoryzowanych typów, już od dawna cierpię na ciężki kompleks niewiedzy. Jeden ze znajomych dziennikarzy powiedział:

— Kolego, do tego trzeba mieć głowę! Wóz, choćby najgorszy, to żywa istota... posiada mózg, serce, trzewia, nerki i wątrobę do filtrowania paliw, z tyłu całkiem przepisowy cuchnący odbyt, natomiast z przodu najprawdziwsze, jarzące się o zmierzchu ślepia.

A inny dorzucił:

— Z wozem, panie kolego, jak z dzieckiem — można kochać, można nienawidzieć, lecz należy dbać: ciepła chata na zimę (garaż), **papu ze smoczka** (benzyna), **nowe buty** (opony), **nowe ubranko** (lakier i pokrowce), **no i nie kończące się wizyty u lekarza** (mechanika), **który potrafi zniszczyć kierowcę psychicznie i zrujnować materialnie.**

Po tych wykładach wróciłem do redakcji i oświadczyłem: ja nie mam o samochodach zielonego pojęcia i ja się ich boję! Usłyszałem na to: nic nie szkodzi, wykażesz się dzięki temu tak zwaną świeżością spojrzenia.

No więc, chcąc nie chcąc, zacząłem krążyć wokół tematu i niebawem znalazłem kontakt — młody, usytuowa-

Dalszy ciąg na str. 4

WŁODZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK
ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

FILM KRÓTKI - O CZYM I DLA KOGO?

Nie tak dawno minęło 27 lat od wydania dekretu Rady Ministrów z 13 listopada 1945 roku, którym znacjonalizowano przemysł filmowy i dystrybucję filmów w Polsce. Mocą powyższego dekretu nałożono obowiązek **„stosowania filmu jako środka informacji, wychowania społecznego i upowszechniania oświaty i kultury w społeczeństwie".** Przez te 27 lat zmieniły się poglądy na niektóre sprawy kultury, sztuki i propagandy. Wyrażona jednak w cytowanym dekrecie z 1945 r. zasada stosowania filmu jako środka informacji i wychowania społecznego pozostała do dziś żywa i trwała, mimo pojawienia się tak operatywnego i powszechnie dostępnego środka informacji, jakim jest telewizja. A więc niniejsze rozważania będą dotyczyły również telewizji jako podstawowego dystrybutora filmu krótkometrażowego w Polsce.

Uważamy, że potwierdzają to dyskusje prasowe, narady kierownictwa resortu kultury i sztuki ze środowiskami twórczymi, pracującymi w wytwórniach krótkiego metrażu, że sprawy kinematografii krótkometrażowej wymagają nowego naświetlenia, wymagają innego spojrzenia na samą potrzebę twórczości, a może raczej przypomnienia i zastosowania ponownie w praktyce tej zasady, o której tak wyraźnie mówił dekret rządu z 1945 r.

„POLSKI DOKUMENT"

Od połowy roku 1949 działa w Warszawie **Wytwórnia Filmów Dokumentalnych.** Każdego roku z ulicy

Dalszy ciąg na str. 6

ZE ŚWIATA

W dalszym ciągu punktem najwyższego zainteresowania w polityce światowej jest Wietnam. W ciągu ostatnich dni nastąpiły nowe fakty: USA przerwały bombardowanie terytoriów, położonych powyżej 20 równoleżnika, ale potem znów tę decyzję naruszyły, w Paryżu po wielodniowej przerwie spotkali się eksperci DRW i USA, a w chwili, kiedy oddajemy komentarz do druku, wznowione zostały rozmowy specjalnego doradcy delegacji północnowietnamskiej — Le Duc Tho z jego amerykańskim rozmówcą. Równocześnie w Wietnamie Płd. wojna toczy się szczególnie zaciekle.

Ze Stanów Zjednoczonych napłynęły informacje o serii narad z udziałem Nixona na temat Wietnamu oraz o rosnącym zaniepokojeniu Kongresu. Ilustracją tego jest na przykład uchwała frakcji demokratycznej w Senacie, a wcześniej — w Izbie Reprezentantów, wzywająca Kongres do cofnięcia funduszów na wojnę indochińską. Kongres zamierza jednak dać czas Nixonowi do 20 stycznia, tj. dnia inauguracji jego drugiej prezydentury, oczekując, że w tym okresie zakończy definitywnie konflikt. Data — 20 stycznia pojawia się już po raz drugi jako ewentualny termin podpisania porozumienia o pokoju. (Wymienialiśmy ten termin w świątecznym komentarzu). Tuż przed wznowieniem poufnych rozmów w Paryżu przeważał ostrożny optymizm, choć nie brak było głosów, podkreślających, że i ta tura rozmów będzie trudna. Niektórzy obserwatorzy obawiają się, czy tekst porozumienia nie będzie negocjowany na nowo, zauważając jednocześnie, iż największą zaletą już ustalonego jest rozdzielenie problemów politycznych od wojskowych. Osiągnięcie tego było zadaniem trudnym i może, w wypadku zmian, nie udać się po raz drugi.

Zwróćmy uwagę, że wznowienie paryskich rozmów poprzedzone zostało oświadczeniem Thieu, który mówił o okresie 2-miesięcznym, jako najdalszym przywrócenia pokoju w Wietnamie. Jak widać — Sajgon nie liczy się z możliwością natychmiastowego podpisania porozumienia.

Od tego trudnego tematu, któremu ostatnio poświęcamy szczególnie dużo uwagi, przejdźmy do innego — drugiej rundy amerykańsko-radzieckich rozmów na temat ograniczenia broni strategicznej. Właśnie zakończyła się pierwsza porcja spotkań, które, przypomnijmy, toczą się w Genewie. Uzgodniono powołanie komisji do nadzoru dotychczasowych i przyszłych porozumień w sprawie tych zbrojeń. Jest to niewątpliwie krok naprzód w dialogu rozbrojeniowym.

O znaczeniu podpisanego w maju ub. roku porozumienia oraz o celach nowej rundy rozmów radziecko-amerykańskich mówił Leonid Breżniew na uroczystościach 50-lecia Związku Radzieckiego. Przypomnijmy jego słowa:

„Porozumienia radziecko-amerykańskie w dziedzinie broni przeciwrakietowych oraz strategicznych broni ofensywnych w gruncie rzeczy po raz pierwszy w historii materialnie ograniczają współczesne i najpotężniejsze rodzaje zbrojeń. Nie zamierzamy jednak na tym poprzestawać. To, co ustalono w Moskwie, powinno być utrwalone i rozwinięte. Jednym z celów trwających nadal rozmów w tych kwestiach jest znalezienie dróg do przekształcania tymczasowego porozumienia w stałe. Chyba należałoby się zastanowić również nad tym, jak od ograniczenia zbrojeń przejść do ich stopniowej redukcji oraz do ustanowienia pewnych limitów ich jakościowego doskonalenia".

Taki jest sens SALT II. Nikt po tej nowej rundzie rozmów nie oczekuje rozwiązań szybkich. Niektórzy komentatorzy przypuszczają, że nie będzie ona krótsza niż poprzednia, która trwała od 1967 r. do 1972. Ale uzgodnienie powołania stałej komisji uważa się za dobry prognostyk.

Z innych wydarzeń na uwagę zasługuje rozwój kampanii przedwyborczej we Francji. Najbliższy okres wypełniony będzie obradami partyjnych gremiów. W wyborach jako główne siły wystąpią: partie koalicji rządowej (gaullistowska Unia Demokratów na rzecz Republiki, Krajowa Federacja Republikanów Niezależnych oraz Centrum Demokracji i Postępu), oraz lewica (Partia Socjalistyczna, Zjednoczona Partia Socjalistyczna, Francuska Partia Komunistyczna). Przeprowadzona ostatnio ankieta przedwyborcza przez „France Soir" daje następujący układ głosów: zjednoczona lewica — 45 proc., partie rządowe — 40 proc., unia reformatorów — 15 proc. Na tle tych wyników komentatorzy podkreślają ofensywę lewicy oraz sprzeczności w obozie rządowym. Okazuje się na przykład, że przedstawiciele partii rządowych nie uzgodnili dotychczas kandydatur we wszystkich okręgach.

W komunikacie z posiedzenia Biura Politycznego FPK czytamy, że wspólny program zjednoczonej lewicy przewiduje rozwiązanie wszystkich pilnych problemów Francji, które zapewnią harmonijny rozwój gospodarki, postęp społeczny oraz rozszerzenie demokracji. Odbyty ostatnio zjazd FPK dowiódł, że jest ona partią wyciągniętej dłoni, partią jedności narodowej. Problemy kampanii wyborczej będą 24 i 25 bm. przedmiotem obrad plenarnego posiedzenia KC FPK.

Z rejonu Bliskiego Wschodu odnotujmy zapowiedź rychłego spotkania przywódców trzech państw Federacji Republik Arabskich: Egiptu, Syrii i Libii. Tematem spotkania ma być sytuacja na liniach przerwania ognia z Izraelem oraz uzgodnienie stanowiska wobec palestyńskiego ruchu oporu.

Z komentarzy prasy arabskiej wynika, że do tego szczytu przywiązuje się duże znaczenie. Może ono przynieść postanowienia ważne dla rozwoju sytuacji na Bliskim Wschodzie.

W. SŁAWSKI

60 ROCZNICA URODZIN TOW. EDWARDA GIERKA

W dniu 6 stycznia towarzysz Edward Gierek ukończył sześćdziesiąt lat. W dniu swojego jubileuszu I Sekretarz KC PZPR przyjął serdeczne życzenia od członków Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium Rządu, które złożyli Henryk Jabłoński i Piotr Jaroszewicz.

Również tego dnia gośćmi Edwarda Gierka była 27-osobowa delegacja ludzi pracy — reprezentantów różnych zawodów i środowisk z całego kraju i wszystkich województw. Spotkanie było serdeczne i wzruszające. I Sekretarza KC obdarowano kwiatami, życząc Mu długich lat życia i dalszych sukcesów w pracy dla dobra socjalistycznej ojczyzny. „Zapewniamy Was — powiedział w imieniu delegacji górnik z kop. „Sosnowiec" — że wszyscy ludzie pracy w całym kraju uczynią wszystko co w ich mocy, aby przyśpieszyć tempo naszego marszu naprzód. Możecie być pewni, że hasło „pomożemy" zapadło głęboko w serca ludzi pracy". Dziękując za życzenia Edward Gierek podkreślił, że nie ma innych pragnień jak tylko te, które łączą się z rozwojem kraju, z tym, aby w Polsce żyło się ludziom lepiej i dostatniej. Spotkanie przeradza się w serdeczną rozmowę, wzajemną wymianę zdań, opinii i informacji.

Następnie Edward Gierek przyjął ambasadorów krajów socjalistycznych. W ich imieniu życzenia przekazał Stanisław Pilotowicz, ambasador ZSRR, podkreślając doniosły wkład I Sekretarza w dzieło umacniania jedności krajów socjalistycznej wspólnoty.

W imieniu bratnich stronnictw politycznych życzenia urodzinowe złożyli Stanisław Gucwa, prezes NK ZSL i Zygmunt Moskwa, przewodniczący CK SD oraz delegacja Ogólnopolskiego Frontu Jedności Narodu z przewodniczącym prof. Januszem Groszkowskim.

Na ręce Edwarda Gierka nadeszło wiele listów i depesz z życzeniami od załóg robotniczych, mieszkańców wsi, instytucji, od organizacji partyjnych i społecznych oraz osób pragnących wyrazić najlepsze, najserdeczniejsze życzenia dla Jubilata.

Liczne depesze nadeszły również z zagranicy. Przywódcy partii i państwa radzieckiego L. Breżniew, N. Podgorny i A. Kosygin piszą m. in.: „Nasza partia, ludzie radzieccy znają Was jako szczerego przyjaciela KPZR i Związku Radzieckiego, niezłomnego marksistę-leninowca, walczącego aktywnie o zespolenie krajów socjalistycznych, o jedność międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego".

W dniu 5 stycznia agencja TASS opublikowała dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR o odznaczeniu Edwarda Gierka Orderem Lenina, podkreślając wybitną rolę naszego przywódcy partii i państwa w rozwoju braterskiej przyjaźni między narodami ZSRR i PRL, wielki wkład w umacnianie pokoju i socjalizmu.

Również w przeddzień 60 rocznicy urodzin Edwarda Gierka, delegacja Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach odwiedziła matkę I Sekretarza KC PZPR — Paulinę, składając jej serdeczne gratulacje, że wychowała syna, którym chlubi się cała klasa robotnicza i naród polski — komunistę, oddanego bez granic sprawie budownictwa socjalistycznego i dobra ojczyzny.

(J. W.)

W POBLIŻU

▲ **KROSNA BEZCZÓŁENKOWE Z „WIFAMY".** Widzewska Fabryka Maszyn Włókienniczych „Wifama", specjalizująca się m. in. w produkowaniu krosien automatycznych, od niedawna wytwarza podzespoły do radzieckich krosien bezczółenkowych, chwytakowych typu STB. Od przyszłego roku będzie współpracowała z francuską firmą Societe Alsacienne de Constructions Mecaniques de Mulhouse przy wytwarzaniu krosien bezczółenkowych, rapierowych typu MAV Standard — przeznaczonych do produkcji tkanin lekkich i średnich — i typu MAV-L — przeznaczonych do produkcji tkanin ciężkich.

Centrala Handlu Zagranicznego „Varimex" podpisała umowę o współpracy ze wspomnianą firmą francuską na lata 1973—1982. Produkcja krosien rapierowych ruszy w przyszłym roku. W tym roku „Varimex" sprowadzi dla fabryk włókienniczych 600 francuskich krosien rapierowych.

▲ **OD ROKU DZIAŁA W ŁODZI Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Przemysłu Zabawkarskiego,** który zapowiada poważne zmiany w tym przemyśle. Blisko 500 osób, a w tym technolodzy, konstruktorzy i plastycy, pracują nad unowocześnieniem zabawek. Będą to — według zapowiedzi specjalistów — zabawki, które będą chodziły, mówiły, śpiewały i poruszały się. Będą to więc zabawki elektroniczne, którymi z dużą ochotą pobawią się czasem dorośli, gdy tego nie będą widziały dzieci.

Kiedy to jednak będzie? — można zapytać, znając aż nadto dobrze długą drogę od pomysłu do przemysłu. Specjaliści z łódzkiego ośrodka zapewniają, że są w stanie przygotować dokumentację, prototypy i technologię wytwarzania w skali masowej w ciągu 5—8 miesięcy. I to nawet najbardziej skomplikowanych zabawek.

Życzę im wszelkiej pomyślności. Wiem bowiem, że to jest możliwe, ale w życiu zdarza się różnie. Nie zawsze pozytywne zapowiedzi i dobre chęci znajdują potwierdzenie w praktyce. Czasem przeszkadzają temu obiektywne trudności. W przemyśle zabawkarskim niech ich nie będzie, bo dzieci czekają na coraz to nowocześniejsze, bardziej pomysłowe i coraz ładniejsze zabawki.

▲ **„MAJED" W RAWIE MAZOWIECKIEJ.** Od kilku miesięcy pracuje w Rawie Mazowieckiej oddział łódzkiej fabryki „Majed". W Rawie Mazowieckiej produkuje się wałki rozciągowe do wszelkich typów przędzarek. Załoga rawskiego oddziału „Majedu" liczy 250 osób. Wielu pracowników tej fabryki kwalifikacje zdobywa już przy warsztacie, w czasie codziennej pracy. Ale tak zawsze bywa w przedsiębiorstwach, które wybudowano w rejonach pozbawionych przemysłowych tradycji. Tradycje te trzeba dopiero tworzyć.

▲ **DWORZEC FABRYCZNY W ŁODZI** remontuje się już kilka lat i nadal nie widać końca tej pracy. Ostatnio — jak poinformował „Express Ilustrowany" — wybuchł nowy skandal. Oto na posiedzeniu Zespołu Łódzkiego Układu Komunikacyjnego przedstawiciele PKP poinformowali, że nie są w stanie wybudować wiaty od strony ul. Kilińskiego, a co za tym idzie trzeba będzie na czas dłuższy odłożyć oddanie do użytku podziemnego przejścia pod tą ulicą. Wiata owa miała być gotowa 15 lipca 1973 roku, a — według PKP — montaż jej rozpocznie się dopiero w IV kwartale 1973 roku.

Moim skromnym zdaniem nie jest to wcale skandal, a przynajmniej nie wybuchł on dopiero teraz, przy okazji przesunięcia terminu oddania do użytku wiaty i przejścia pod ulicą Kilińskiego. Skandal zaczął się w momencie rozpoczynania remontu dworca ŁÓDŹ-FABRYCZNA, kiedy nie było dobrze przygotowanej dokumentacji, kiedy nie pozałatwiano wykonawców do poszczególnych prac i kiedy — w ogóle — zdecydowano się na remont dworca, który tylko przez niedługi czas będzie pełnił tę funkcję, bo przecież trzeba w Łodzi jak najszybciej przebudować układ komunikacyjny, a w tym i sieć PKP.

Trudno, stało się! Teraz przynajmniej pilnujmy dobrze sprawy modernizacji dworca Łódź-Kaliska, bo — jak wiadomo — już w tym roku Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego nr 1 rozpoczyna pierwszy etap modernizowania **ŁODZI KALISKIEJ.** A może jest jeszcze czas, aby zastanowić się nad koncepcją samej modernizacji, a może warto jeszcze raz rozważyć **KONIECZNOŚĆ WYBUDOWANIA W ŁODZI DWORCA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.** W Warszawie też przez całe lata twierdzono, że nie ma możliwości wybudowania Trasy Łazienkowskiej, Wisłostrady i Dworca Centralnego, aż nagle okazało się, że można, że prace przy realizacji tych inwestycji mogą być przykładem dla kraju. Więc jak z tymi możliwościami w Łodzi, w mieście, które modernizuje się i które m u s i znaleźć siły dla przekraczania swoich własnych zamierzeń.

▲ **IWANOWO — BRATNIE MIASTO.** Iwanowo jest dużym ośrodkiem przemysłu włókienniczego ZSRR. Rozwijało się bardzo podobnie do Łodzi, a i później wiele miało wspólnego z dziejami polskiego ośrodka włókienniczego. Obecnie od lat oba miasta łączy przyjaźń i współpraca, wyrażająca się nie tylko we wzajemnym poznawaniu przeszłości i teraźniejszości Łodzi i Iwanowa. Systematycznie dokonuje się wymiany delegacji specjalistów, którzy poznając poszczególne dziedziny życia, wprowadzają u siebie poszczególne doświadczenia i osiągnięcia.

Problemami Łodzi i Iwanowa interesują się też naukowcy z obu miast. W **„Zeszytach Naukowych Uniwersytetu Łódzkiego, Nauki Matematyczno-Przyrodnicze"** (seria II, zeszyt 49, Łódź 1972), ukazał się artykuł **dr Stanisława Paczki** z Zakładu Geografii Ekonomicznej UŁ. Autor artykułu omawia podobieństwa występujące w procesie kształtowania się obu ośrodków przemysłu włókienniczego, a następnie przechodzi do spraw związanych położeniem geograficznym Iwanowa oraz omawia zmiany zachodzące w strukturze ekonomicznej tego miasta.

▲ **MARCHEWKA w „Literaturze".** Fakt ukazania się w „Literaturze" reportażu W. Huzika pt. „Brali, bo leżało" odnotowała „Gazeta Radomszczańska", stwierdzając: **„W grudniu prasa centralna „zahaczyła" o nasz teren".** Chcielibyśmy przy tej okazji przypomnieć, że znacznie wcześniej o ten teren „zahaczyły" rodzime „Odgłosy". Wspominam o tym nie gwoli licytowania się, kto był pierwszy, a tylko dlatego, że akurat złodzieje z Marchewki nie powinni być powodem do dumy z faktu interesowania się prasy centralnej „naszym terenem".

▲ **ZMIANA NAZWY, NIE ZMIENIA RZECZYWISTOŚCI** — do takiego wniosku doszedł „Dziennik Łódzki". Okazją do tego było wycofanie pojęcia „remanent". Wprawdzie nadal straszyć nas będą napisy na sklepach: „Inwentaryzacja", „Kontrolny spis towarów", ale to już coś innego. Remanentów nie będzie i na remanenty nie ma co narzekać. Gdyby tak jeszcze zamiast nazwy zmieniono czas dokonywania inwentaryzacji i kontrolnych spisów towarów, to dopiero byśmy się naprawdę ucieszyli. A tak możemy sobie tylko przypomnieć przysłowie: „zamienił stryjek siekierkę na kijek".

▲ **ŁKS MA NOWEGO TRENERA.** Ledwie Paweł Kowalski wyciągnął piłkarską jedenastkę, ledwie uczynił z niej drużynę ligową, a już pożegnał ŁKS. Na jego miejsce przychodzi Kazimierz Górski — trener reprezentacji narodowej. Będzie on teraz godził dwie funkcje, będzie trenerem ŁKS i trenerem reprezentacji narodowej. Co z tego wyniknie? Zobaczymy.

M. RODAK

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

Wnioski i postulaty, jako forma instytucji społeczno-prawnej, wiążą się ściśle z istotą socjalistycznej demokracji, a przede wszystkim z praktyką kampanii wyborczych do Sejmu PRL i rad narodowych. Truizmem jest zatem twierdzenie, że instytucja ta jest wyrazem demokratyzmu naszej rzeczywistości społecznej, że stanowi ważną formę więzi organów władzy i poszczególnych mandatariuszy ze społeczeństwem.

ANTONI WESOŁOWSKI

WNIOSKI I POSTULATY —pomoc, czy utrapienie?

Instytucja ta stwarza wyborcom możliwość prezentowania ich punktu widzenia na wszystkie interesujące problemy. Dzięki niej wyborcy posiadają proste w formie i dogodne w praktyce warunki do wywierania wpływu na rozwój życia społeczno-gospodarczego, poprawę warunków bytowych i socjalnych w zakładach pracy i w osiedlach mieszkaniowych. Formułowane wnioski i postulaty w znacznym stopniu wpływają na doskonalenie funkcjonowania organów władzy i administracji na kształtowanie wielu ważniejszych decyzji i kierunków działania rad narodowych i ich organów zarządzająco-wykonawczych.

Stan obowiązujących przepisów prawnych oraz uchwał społeczno-politycznych, regulujących problematykę wniosków i postulatów, jest w zasadzie zadowalający, chociaż niektóre z nich wymagają zmian i uzupełnień. Obok ustawy o radach narodowych, stwarzającej ogólne ramy dla kształtowania tej instytucji, problematykę wniosków i postulatów regulują ponadto: zarządzenie nr 29 Prezesa Rady Ministrów z 25. III. 1969 r., zalecenia Komisji do Spraw Rad Narodowych — Rady Państwa z 4. V. 1967 r., a także wiele uchwał i wniosków Rady Narodowej m. Łodzi i rad dzielnicowych oraz ich prezydiów.

Z najważniejszych uchwał społeczno-politycznych wymienić należy „Wytyczne Sekretariatu Ogólnopolskiego Komitetu FJN" z kwietnia 1969 r., które określają zasady współdziałania komitetów FJN z radami narodowymi w tej dziedzinie.

Wspomniane wyżej przepisy i wytyczne spełniły niewątpliwie pożyteczną rolę w ujednoliceniu trybu i zasad postępowania przy rejestracji, rozpatrywaniu i ocenie słuszności wniosków i postulatów, jakości i terminowości odpowiedzi oraz kontroli ich realizacji. Przyczyniły się one do podniesienia roli i znaczenia tej instytucji. Nie oznacza to jednak, że stan obecny jest już doskonały, a praktyka wszędzie zadowalająca. Przeciwnie. Praktyka różni się poważnie w różnych organach administracji w prezydiach dzielnicowych rad narodowych, a nawet w poszczególnych wydziałach i zjednoczeniach Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. **Praktyka i obserwacje dowodzą, iż związane jest to nie tylko z ograniczonymi możliwościami realizacji dodatkowych postulatów o charakterze inwestycyjnym przez poszczególne jednostki, ale także z subiektywnymi czynnikami, wynikającymi z różnego podejścia do tych problemów ze strony poszczególnych pracowników aparatu administracji gospodarczej i prezydiów rad narodowych.**

Nowa polityka społeczna, zapoczątkowana uchwałami VII i VIII Plenum, a rozwinięta na VI Zjeździe PZPR, stworzyła korzystny klimat oraz dogodne warunki dla rozwiązywania wielu nabrzmiałych problemów społecznych, które od wielu lat przewijały się w treści wniosków i postulatów ludności. Ten nowy, korzystny klimat przyczynił się również do **ewolucji poglądów na temat wniosków i postulatów.** W latach ubiegłych na skutek bardzo skromnych możliwości realizacji wniosków i postulatów, niektórzy pracownicy administracji prezydiów rad narodowych i administracji gospodarczej, więcej energii poświęcali ograniczaniu napływu wniosków i postulatów, redagowaniu negatywnych odpowiedzi niż faktycznej ich realizacji. Obecnie wiele zmieniło się na lepsze.

Aktualnie przeważa słuszny pogląd, że wnioski i postulaty stanowią naturalne i pozytywne zjawisko naszej rzeczywistości społeczno-ustrojowej. Treść wniosków i postulatów jako wyraz opinii i potrzeb społecznych wyborców, stwarza okazję do konfrontacji „urzędowego programowania" rozwoju społeczno-gospodarczego miasta z odczuciami samych jego obywateli. Stanowią one autentyczny bank tematów i problemów społecznych wymagających rozpatrzenia i realizacji.

To właśnie w warunkach kształtowania się korzystnego klimatu dopracowano się w Łodzi obszernych, a zarazem konkretnych programów realizacji wniosków i postulatów, które poddawane są okresowej weryfikacji pod kątem możliwości rozszerzenia zakresu i ewentualnego przyśpieszenia ich realizacji. W taki sposób opracowany program staje się efektywną formą wiązania zadań ogólnomiejskich z potrzebami poszczególnych dzielnic, osiedli i środowisk społecznych oraz sprzyja wyzwalaniu społecznej inicjatywy ludności.

Program realizacji wniosków i postulatów na lata 1971—1975 zatwierdzony uchwałą Rady Narodowej m. Łodzi nr XVII/71/71 z 29. XII. 1971 r. przewiduje realizację 244 tematów, a w tym 235 o charakterze inwestycyjnym, na ogólną kwotę ponad 415 mln złotych. Jest to kwota prawie dwukrotnie większa, niż w poprzednim planie pięcioletnim. Program ten nie obejmuje wniosków i postulatów z dyskusji przedzjazdowej oraz ostatniej kampanii wyborczej do Sejmu PRL, które objęte są odrębnymi planami realizacji.

W pierwszych dwóch latach (1971—1972) wykonano 135 wniosków i postulatów o charakterze inwestycyjnym. Za każdą liczbą kryje się kosztowna i bardzo oczekiwana przez mieszkańców inwestycja. Spośród postulatów zaplanowanych do realizacji na rok 1973 wymienić przykładowo można: **oświetlenie nieparzystej strony ul. Warszawskiej, poprawę oświetlenia ul. ul. Jaskółczej, Lubelskiej, Sierakowskiego, Świerczewskiego, Przybyszewskiego i Księży Młyn. Sieć kanalizacyjna wybudowana zostanie na dalszym odcinku ul. Glinianej, a sieć wodociągowa na ul. ul. Artura i Lemieszowej. Nową szkołę otrzymają mieszkańcy Kozin, żłobek mieszkańcy osiedla Wielkopolska, aptekę mieszkańcy osiedla Retkinia, bibliotekę mieszkańcy osiedla Teofilów, a w dzielnicy Górnej planuje się rozpoczęcie budowy krytej pływalni ze środków Społecznego Funduszu Budowy Szkół i Internatów.** Podobne plany, tylko o mniejszej wadze finansowej i przerobowej, posiadają wszystkie dzielnicowe rady narodowe, których realizacja w znacznym stopniu zabezpieczona będzie pracą społeczną mieszkańców.

Metoda zatwierdzania programów realizacji wniosków i postulatów uchwałami rad narodowych, nadała im charakter prawno-normatywny. W takich warunkach, kiedy wykonanie programu jest prawnym obowiązkiem wszystkich jednostek prezydiów rad narodowych, **nikt nie może dowolnie zmniejszać programu,** a wszelkie zmiany mogą się dokonywać za zgodą rad narodowych i tylko w tym sensie, iż ulegać będą rozszerzaniu i uzupełnianiu nowymi i dodatkowymi wnioskami i postulatami zgłaszanymi na spotkaniach w czasie całej kadencji rad narodowych.

W przeszłości opinie o „słuszności lub niesłuszności" zgłaszanych wniosków i postulatów wyrażały prawie wyłącznie organa administracji. **Dzisiaj czyni się to z udziałem szerokiego aktywu społecznego na platformie Frontu Jedności Narodu.** W ten sposób zrobiono duży krok naprzód w tej dziedzinie, który wyraża się w „uspołecznieniu procesu rozpatrywania i oceniania słuszności wniosków i postulatów", zgłaszanych przez wyborców na spotkaniach posłów i radnych z mieszkańcami lub na dyżurach w okręgowych zespołach radnych. U podstaw tych przemian legło przekonanie, iż **takie działanie zbieżne jest z ogólnymi zasadami ustrojowymi, zgodnie z którymi ustalanie celów działania administracji w państwie socjalistycznym dokonują sami obywatele i sami obywatele powinni oceniać, co jest dla nich dobre, co złe, co pożądane, co niepożądane, a administracja powinna być w ich ręku instrumentem potrzebnym do osiągania ustalonych przez nich zadań.**

Mimo znacznych osiągnięć w tej dziedzinie, w dalszym ciągu dostrzegamy wiele braków i słabości, nad którymi nie wolno przechodzić do porządku. Dotyczy to zarówno potrzeby doskonalenia sposobów informowania wyborców i rozliczania się radnych z przyjętych wniosków i postulatów, jakości i terminowości odpowiedzi, jak również potrzeby wyciągania ogólniejszych wniosków z treści wniosków i postulatów. W treści wniosków i postulatów, jak w zwierciadle dostrzegać można braki i niedociągnięcia, występujące w stylu pracy organów administracji rad narodowych i nie tylko rad narodowych oraz wszechstronne potrzeby społeczne, których spełnienia mieszkańcy oczekują.

W okresie kampanii wyborczych, a także kadencji rad narodowych, można dostrzec wiele, zbyt wiele przykładów, iż znaczna grupa spraw, postulowana na spotkaniach posłów i radnych z wyborcami, powinna być załatwiana w normalnym trybie przez odpowiednie organa administracji. Skoro w naszym systemie główną funkcją administracji jest zaspokajanie określonych potrzeb społecznych ludności, to wywiązanie się z tych założeń wymaga w pierwszym rzędzie znajomości rzeczy z zakresu kompetencji i odpowiedzialności danego organu administracyjnego. **Nie musi być najlepiej z tą znajomością rzeczy, skoro po każdej turze spotkań wiele wniosków i postulatów opiniuje się do niezwłocznego załatwienia, ponieważ nie wymagają one nakładów inwestycyjnych w ogóle lub nakłady są minimalne.** Być może, iż wynika to z przesady w hołdowaniu tak zwanemu „gabinetowemu trybowi działania", lub z przerostu biurokratycznego i papierkowego obciążania odpowiedzialnych pracowników administracji.

Z analizy wniosków i postulatów oraz z obserwacji praktyki społecznej odnosi się często wrażenie, że niektóre działania, związane z realizacją wniosków i postulatów, nie wynikają z kompleksowych programów działania, lecz z przypadkowości i stopnia nacisku poszczególnych grup lub środowisk wyborców. **Dotyczy to np. układu komunikacji miejskiej, a zwłaszcza rozwoju nowych tras oraz linii autobusowych i tramwajowych, rozwoju sieci wodociągowo-kanalizacyjnej, gazowej, czy też oświetlenia ulic.** Wynika stąd pilna potrzeba przyśpieszenia prac zmierzających do opracowania kompleksowych i perspektywicznych programów zaspokajania określonych potrzeb społecznych we wszystkich zasadniczych dziedzinach życia miejskiego.

Rady narodowe powinny znacznie zwiększyć aktywność i zainteresowanie ważnymi kierunkami działania, a komisje szczegółowo rozliczać nadzorowane jednostki i wydziały z realizacji wniosków i postulatów. Dzisiaj nie wystarczy zapisać w notesie głosów wyborców w czasie spotkania. **Dzisiaj liczy się to, co załatwiono ze spraw zapisanych w protokołach i notesach.** Ta zwiększona troska wynika z treści art. 48 Ustawy o Radach Narodowych, w myśl którego **„radny utrzymuje stałą więź z wyborcami, dba o najlepsze zaspokajanie ich potrzeb gospodarczych i kulturalnych, pobudza ich inicjatywę w tych dziedzinach, przyjmuje ich wnioski i uwagi krytyczne, przedkładając je radzie bądź jej prezydium, lub innym właściwym organom i instytucjom oraz czuwa nad sposobem ich załatwiania i terminowym poinformowaniu wyborców".** Sądzę, że praktyka w znaczny sposób odbiega od modelu Ustawy o Radach Narodowych.

Obowiązek informowania wyborców o sposobie realizacji wniosków i postulatów, zgłaszanych przez wyborców, jest zarazem orężem działania radnego; jego przywilejem uprawniającym do egzekwowania od właściwych organów administracyjnych zajęcia stanowiska w przedmiocie zgłoszonych wniosków i postulatów. Rola radnego jest więc bardzo duża i polega głównie na tym, żeby zaopiniowany pozytywnie wniosek, czy postulat znalazł się możliwie szybko w planie realizacji.

Wszyscy powszechnie odczuwamy, że ten ustawowy obowiązek niedostatecznie jest wykonywany przez niektórych radnych, podobnie jak **prawo radnego do interpelacji,** wynikające z treści art. 49 Ustawy o Radach Narodowych. Wszystko to wymaga przemyślenia i systematycznego usprawnienia. **Być może, iż nadszedł czas, by wzorem rad narodowych Związku Radzieckiego, poszczególne organizacje społeczne, samorządy mieszkańców, zobowiązywały radnych do przedstawiania ich punktu widzenia na posiedzeniach rad narodowych, a także do występowania w ich imieniu z interpelacjami.** Rozliczanie się z tych zobowiązań przed wyborcami miałoby niewątpliwie wpływ na podniesienie roli mandatu radnego oraz na ożywienie życia społeczno-politycznego w terenie, a także sprzyjałoby to wyzwalaniu nowych i bardziej wielostronnych inicjatyw społecznych.

We wszystkich tych poczynaniach komitety FJN coraz aktywniej współdziałać będą z konwentami seniorów, komisjami rad narodowych, poszczególnymi radnymi, prezydiami rad narodowych i ich organami wykonawczymi, ponieważ działacze FJN dążenie do doskonalenia funkcjonowania demokracji socjalistycznej, a w tym rad narodowych, traktują jako swoje własne i wspólne zadanie wszystkich organów państwowych i społecznych.

Listy do Redakcji

„LEWIATAN"

Jestem z zawodu nauczycielką i stałą czytelniczką „Odgłosów". Próbuję też pisać wiersze. Jeden z nich — moim zdaniem udany — przesyłam na próbę. Zdobyłam się na tę odwagę pamiętając, że w Waszym piśmie ukazał się kiedyś artykuł, w którym śmieliście się z „łęczyckiego potwora".

Jeśli Wam się spodoba, to wydrukujcie. A jeśli nie, to trudno.

BALLADA O ŁĘCZYCKIM POTWORZE

W mieście Łęczycy potwór się kryje
na bagnie, na torfowisku,
wielkie ma uszy, krościatą szyję,
obleśny uśmiech na pysku
Szły redaktory zjawę oglądać,
ze strachu trzęsły portkami;
patrzą — krokodyl, ze łbem wielbłąda
z łysawą czachą i z kłami.
Choć redaktorom zęby dzwoniły,
ten z brodą podszedł go z bliska
— potwór wydawał zapach niemiły
i żółte wyszczerzał kliska...
Co zobaczyli, to opisali.
Strach w mieście i trwoga blada.
Ludziska z domu wyjrzeć się bali,
żeby nie trafić na gada.
Więc rada w radę w tej redakcyji —
ktoś im fachowca narail,
przyleciał z Anglii doktór od żmiji
i się na bestię zaczaił.
Złapał go w końcu, wrzasnął: A ty kto
Rzecz się wydała, o rany!
Na bagnach straszył jeden Joss-Wiktor
nawet nie bardzo przebrany...
Sam ci on pisał o tym straszydle,
więc ludzie zakrzykli: Zdrada!
Dostaniesz, bracie, za takie figle!
On jęczał: biada mi, biada...
Potem wyznanie uczynił szczere,
lejąc się łzami rzewnemi,
że chciał raz w życiu być bohaterem
w tym swoi „Łęczycki Ziemi".

Iza P.
(Imię i nazwisko znane redakcji)

DO REDAKCJI: Spełniamy prośbę naszej Czytelniczki, traktując publikację „Ballady o łęczyckim potworze" jako noworoczny żart, pamiętając, że istniała u nas — coraz bardziej zaniedbywana — tradycja szopek noworocznych, w których wyśmiewano się nawzajem z siebie. A bohaterowie szopek nie obrażali się na ich twórców. Mamy nadzieję, że i tym razem nikt nie weźmie nam za złe noworocznego żartu z „łęczygckiego potwora" i jego „twórców" z sympatycznej „Ziemi Łęczyckiej".

Listy do „Odgłosów" prosimy adresować: Redakcja tygodnika „Odgłosy" ul. Piotrkowska 96 (skr. poczt. 358) 90-950 ŁÓDŹ

Dla listów poleconych, kierowanych bezpośrednio do redakcji: 90 103 ŁÓDŹ

Dalszy ciąg ze str. 1

ny, obsesyjnie snujący się po wszelkiego rodzaju targowiskach i jarmarkach człowiek zeznał, że pierwsza giełda samochodów mieściła się na Polesiu, tuż przed mostem kolejowym, u progu Zdrowia. Nie było tam nic nadzwyczajnego....

Trochę Cyganów i przekupniów, kilkadziesiąt rozklekotanych wehikułów, pomiędzy którymi kłębiła się obficie gawiedź. Nieraz ktoś komuś podprowadził pugilares, nie raz rozległ się wrzask stukniętego zderzakiem w błotnik kierowcy, ale prawdziwa zabawa następowała dopiero wówczas, kiedy wjeżdżał z niesłychanym rumorem na plac zdezelowany, roztrzęsiony i dychawiczny P-70, którym powoził tryskający ogromną radością życia dziadunio... Podobno liczne odpryski i dziury w tym gracie pozaklejane były dla niepoznaki przepięknymi nalepkami typu General Motors, Esso, Emanuel i Texaco; klakson — w owych czasach niemała sensacja! — rozdzierał powietrze trzema przeraźliwymi, powtarzającymi się tonami o zróżnicowanej wysokości, zaś pod wgniecionymi gałami reflektorów kryły się wspaniałe, zagraniczne halogeny. Nie wiadomo, czy dziadunio wtrynił wreszcie jakiemuś naiwniakowi to swoje tekturowe utrapienie, ale fakt, że przyjeżdżał na giełdę co tydzień i bawiąc żądny mocnych przeżyć naród, niejednokrotnie bywał ograbiony właśnie z tych nalepek i przeciwmgielnych halogenów, co nie zniechęcało go bynajmniej do ponownych wypraw na Zdrowie.

Później giełda została przeniesiona na Plac Zwycięstwa. Jeśli chodzi o ten okres — informacje czerpałem od pewnego piętnastolatka z dobrej rodziny, który zajmuje się na co dzień pisaniem żebraczych listów do znanych zagranicznych firm samochodowych, przy czym na odwrocie podaje nie tylko swój adres. — Gra w kolegów i sąsiadów, zmuszony wydzierać im później nadesłane z obcych krajów foldery i reklamówki, z którymi krąży po targowiskach, licząc sobie po dziesięć i piętnaście złotych za sztukę...

Tam również nie było nic nadzwyczajnego. Obok drobnych młodocianych złodziei trafiali się wytrawni kieszonkowcy, więc ludzie, którzy rzeczywiście przybyli na giełdę z zamiarem kupienia samochodu, trzymali się kurczowo za portfele. W pobliskiej knajpie dokonywano od czasu do czasu transakcji, a że na placu brylował zapobiegliwy, choć nie posiadający uprawnień roznosiciel piwa, wielu kierowców opuszczało giełdę w stanie lekkiego zamroczenia. Podobno w chwilach wielkiego tłoku konkurencja podgryzała się na rozmaite sposoby — zakamuflowani ajenci potrafili w razie potrzeby skutecznie oszkalować jakiś pojazd, że ma pęknięte podwozie, albo że siedzi (uważaj pan!) na nim komornik, albo że został kilka dni temu (nie chcesz pan chyba klincować) ukradziony i podstawiali na jego miejsce inną maszynkę, której przecherny właściciel odpalał im w razie znalezienia nabywcy drobną dolę. Kiedy jeden z klientów zdecydował się kupić „Wołgę" za pięćdziesiąt tysięcy, do akcji wkroczył nie posiadający złamanego grosza agent i krzycząc, że da sześćdziesiąt, wyjechał z właścicielem radzieckiego pojazdu na próbny rejs po ulicach, z czego skorzystał posiadacz innej „Wołgi" — wprowadził ją na opróżniony podstępem skrawek placu i — jeśli wierzyć plotce — sprzedał za pięćdziesiąt pięć.

Tak w skrócie wygląda część historyczna, zrekonstruowana na podstawie wspomnień nałogowych sympatyków wolnorynkowego handlu.

A jak jest dzisiaj?

Oto zbliżam się spacerkiem do trzeciej już niedzielnej giełdy samochodów. Ulicą Niciarnianą podąża świątecznie przyodziany tłum, po wyboistej jezdni suną przeznaczone na sprzedaż wozy, a górą, szlakiem magistrali elektrycznej, przetaczają się pociągi. Słychać dialogi w stylu: **„Syn, proszę pana, nie chce samochodu, ale córki — jak najbardziej, wiercą mi formalnie dziurę w brzuchu"**, albo: **„żona powiada — kup, pociągniemy latem na wycieczkę, Bożenkę w Kutnie odwiedzać będziemy!"**, albo: **„W dwudziestym wieku pojazd mechaniczny stał się dla obywatela nieodzowną potrzebą i poza tym, bez wątpienia"...**

Skręcam za szlabanem w gardziel ulicy Nowogrodzkiej i rwąc z tłumem wzdłuż przyklejonego do chodnika, pojedyńczego sznura samochodów, ulegam pierwszym refleksjom. Dlaczego oni tu stoją? Przecież prawdziwa giełda jest trochę dalej. Może nie mają dziesięciu złotych na wykupienie legalnego miejsca na placu? Ale czy to możliwe — mieć samochód i nie mieć tych paru groszy? Chyba, że liczą na przypadkowego nabywcę... A później wpadłem w ręce inkasentów. Jeden krzyczał: „który jest pański wóz?!", „Nie mam wozu", „To co się pan pytasz o cenę?", „Lubię wiedzieć...", „Co pan lubisz wiedzieć? w konia mnie pan idziesz robić?!".

Czmychnąłem w gąszcz ludzkiej ciżby. Minąłem radiowóz milicji. Stanąłem sobie dla niepoznaki przed straganem z pocztówkami dźwiękowymi, które opakowane były w tandetny, zabazgrany tuszem papier; zawieszony na ścianie domu adapterowy głośnik ryczał jak opętany, przy czym kobiecina starannie dobierała repertuar, wzruszając ludzi przebojami Laskowskiego („Ja kocham tiebieeę, ty kochasz mniaaa") oraz szmoncesami Karin Stanek („Auto-stop, auto-stop, a kierowca fajny chłop!"), a później przyglądałem się autentycznej kuchni polowej, do której ustawiła się długa kolejka miłośników flaków i smażonych kiełbasek, a jeszcze później zająłem się samochodami...

Rys. A. GRUN

Najtańszym wozem na targowisku, które zresztą zastawione było do ostatniego miejsca, okazała się stara „Warszawa" o powyrywanych klamkach i pordzewiałej, ciężko uszkodzonej karoserii (do przedniej szyby właściciel przylepił kartkę: „Okazja! Silnik po kapitalnym remoncie. 15 tysięcy"), a najdroższym — kremowy „Opel Rekord" (Okazja! Rok produkcji 1968. Stan licznika 44 tysiące kilometrów. 150 tysięcy), natomiast pomiędzy tymi dwoma biegunami cen można było znaleźć prawdziwie wieloraki asortyment — „Syrenki" od dwudziestu (złom) do sześćdziesięciu pięciu tysięcy (te ostatnie miały czerwoną, tymczasową numerację), „Warszawy" od siedemnastu do dziewięćdziesięciu pięciu, „Trabanty" od dwudziestu pięciu do sześćdziesięciu, polskie „Fiaty" od pięćdziesięciu do stu dwudziestu, a także trochę „Wartburgów", „Volkswagenów", „Skód" i „Moskwiczy".

Czy były jakieś osobliwości?... Rzucało się w oczy dwóch młodych, przebojowo ubranych chłopaków, którzy wkołowali na giełdę Hillmanem i nie wychodząc na zimnicę, wystawili na widok pospólstwa kartkę z informacją: „Rok produkcji 1969. Cena wywoławcza 85". Zauważyłem, że byli na warszawskich numerach.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

2 KROKI OD SZCZĘŚCIA

Zdarzały się również numery bydgoskie i poznańskie oraz sporo z województwa łódzkiego, to jednakże trudno uznać za osobliwość. No, a ta zdewastowana, trzeszcząca na wietrze półciężarówka za dwadzieścia siedem? A ci zdesperowani, zziębnięci taksówkarze, próbujący opchnąć od ręki swoje kompletnie wyposażone warsztaty pracy? A ten rozjuszony, potężny gość, co próbował sprzedać za dwadzieścia krzywego „Mikrusa", ludzie parskali mu śmiechem w twarz, mówiąc, że i cztery byłoby za dużo? A ten „Taunus" za siedemdziesiąt?... Pochylało się nad nim kilkanaście osób, w tym dwóch poważnych reflektantów. Kierowca udzielał wyjaśnień i otwierał, czy też włączał na żądanie poszczególne urządzenia. Trawiła mnie podejrzliwość. Myślałem: dlaczego tak tanio? Inni też tak myśleli. Bo wszystko w tym wozie było piękne. Czyste, niezniszczone siedzenia, wytworna tapicerka, połyskliwa stacyjka, niepodrapany lakier na karoserii... Tych dwóch kazało otworzyć maskę — i to w porządku. Więc kazali uchylić bagażnik. — bez zarzutu. Pokręcili głowami. „To my jeszcze do pana wrócimy" — odmeldowali się kierowcy i zniknęli z placu i nie wiem nawet, czy wrócili, ale, tak czy owak, „Taunus" stał na placu jeszcze parę godzin obstrzeliwany ze wszystkich stron czujnymi spojrzeniami. Jeden gość kilkakrotnie próbował wgramolić się pod niego z grubym kożuchu, przekonany, że odkryje tam jakieś ewidentne wady, a drugi gość komentował to złośliwie, twierdząc, że już lepiej nadpłacić te dziesięć tysięcy niż do cna zaszargać ubranie...

Około trzynastej doszedłem do wniosku, że najwyższy czas zrealizować polecenie redaktorów, którzy wepchnęli mnie w ten temat, toteż, czując strach i dużą tremę, podjechałem do poczciwie wyglądającego mężczyzny z zamiarem kupienia od niego „Warszawy". Wóz ten, z braku wolnej przestrzeni, stał na kolejowej skarpie i miał rejestrację wojewódzką, a jego właściciel raz po raz zabijał ręce i przecierał wierzchem dłoni wilgotny nos.

— Trochę drogo — powiedziałem.

— Co drogo?

— No, ta pańska maszynka...

— Czterdzieści cztery tysiące.

— Kilometrów?

— Nie, złotych.

— A jaki przebieg?

— Siedemdziesiąt.

— Nikt panu tyle nie da.

— Dlaczego? Trzeba tylko cierpliwie poczekać. „Warszawy" wyskakują z produkcji, więc pójdą w górę.

— Ale to jest stara „Warszawa".

— Nie szkodzi. Silnik po kapitalnym remoncie, nowe ogumienie. A pan naprawdę chce kupić?

— Ja nie. Ale mój ojciec.

— To idź pan po niego. Może się jakoś zgodzimy.

— Kiedy ojciec chce taniej...

— Zawsze można trochę stargować.

— I nie lubi formalności.

— Jakich formalności?

— No, tych wszystkich umów rejentalnych, i tak dalej...

— Przecież to niekonieczne.

— Jak to nie?

— No pewne. Wystarczy tu, na poczekaniu, zrobić ugodę w dwóch egzemplarzach, jeden dla was, drugi dla mnie. I wie pan — zapłacicie mi czterdzieści, a umowę spiszemy na trzydzieści...

— Po co?

— Żebyście wybulili mniejszy podatek.

— A tak można?

— Wszystko można, kiedy mina jest pobożna!

Zaczął mnie pouczać, jak należy kiwnąć Wydział Finansowy, a ja byłem podniecony i zdenerwowany, jakbym rzeczywiście zamierzał kupić wóz. I nagle przypomniałem sobie przestrogę, której udzielił mi pewien informator: na giełdę przyjeżdżają nieraz samochody zajęte przez komornika. Może ten „Taunus" jest zajęty? Może ta „Warszawa"?

— Nic o panu nie wiem — powiedziałem.

— Boisz się pan przykrości?

— Aha.

Zaczął się śmiać... I wyciągnął zza pazuchy owinięty gumką plik dokumentów.

— Nie o to chodzi — powstrzymałem go za ramię.

— A o co?

— Skąd mogę wiedzieć, jak jest z pańską hipoteką?

— Człowieku, niech mnie pan nie obraża. Zresztą... — wytłumaczył mi, że na dobrego kupca nie ma silnych. Nawet jeśli przypadkiem nabędzie zajęty przez komornika samochód, ale natychmiast go przerejestruje i zapłaci podatek od tak zwanego wzbogacenia, może spać spokojnie. — **Żaden hycel panu nie podskoczy!**

— To ja się jeszcze zastanowię — powiedziałem mu na pożegnanie. — **Ale, proszę się nie gniewać, może już nie wrócę...**

I wmieszałem się w tłum. I nagle uprzytomniłem sobie, że dochodzi czternasta, koniec giełdy, a ja nie widziałem jeszcze ani jednej sfinalizowanej transakcji, choć na placu było kilkaset najróżniejszych samochodów. Więc po co ta giełda? Tak myślałem. Po co?... Żeby bawić ludzi? Żeby mogli udawać kupców, pochylając się z najwyższym napięciem nad otwartą maską pojazdów i wymieniając między sobą poczynione spostrzeżenia? Jednym słowem — działalność rozrywkowa: muzyczka, kiełbaski, flaki... A gdzie handel?

Wtedy zobaczyłem długi, chociaż pojedyńczy rząd straganów, na których (niby) leżały samochodowe części i akcesoria, a więc błotniki i nalepki, świece i maskotki, ale w gruncie rzeczy były to stoiska z ciuchami — zagraniczne bluzki, koszule, doskonałe, modne buty damskie, płaszcze, swetry, krawaty, nawet bielizna przybrana gumą do żucia, i jak jeden mały ryżawy złodziejaszek gwizdnął z gazety kuleczkę bubblegum, pewien czcigodny starszy pan schwycił go za ucho i tak przykręcił, że szczeniakowi pociekły z oczu łzy, a kiedy wyrwał się wreszcie oprawcy i uciekł, straganiarz zwrócił się z uśmiechem do tego czcigodnego: **„No i co pan zrobił, klienta mi pan przepłoszył!"**. Czcigodny zignorował uwagę, biorąc do ręki piękny, wyścigowy angielski samochodzik.

— Ile to kosztuje? — zapytał.

— Czterysta.

— Tu jest zadrapanie — wskazał na karoserię zabaweczki.

— Nie musi pan brać.

— Ja wezmę! — krzyknęła jakaś pani. — **Będę miała na gwiazdkę dla syna.** — I nim ten czcigodny zdążył się zreflektować, wcisnęła sprzedawcy pieniądze.

Odetchnąłem. Mogę śmiało wracać do redakcji. Zobaczyłem przecież na koniec transakcję, po której samochód zmienił właściciela.

DIABELSKA KSIĄŻKA

Wydawnictwo „Iskry" specjalizujące się od pewnego czasu w dostarczaniu nam różnego typu antologii, tym razem przygotowało wybór wierszy i opowiadań polskich poetów i pisarzy, poświęconych diabłu. Tytuł „Diabli wiedzą co..." pochodzi z wiersza Juliana Tuwima „Spleen" otwierającego tom. Nie jest to chyba wybór przypadkowy, gdyż zainteresowania tym tematem u autora „Kwiatów polskich" były dość silne. Wystarczy przypomnieć tylko wspaniałą jego księgę „Czary i czarty polskie".

W antologii zaprezentowano utwory 30 autorów, a obok wspomnianego już wyżej Tuwima, cała plejada znakomitych nazwisk: Mickiewicz (oczywiście „Pani Twardowska"), Słowacki, Prus, Tetmajer, Leśmian, Makuszyński, Dąbrowska, Pawlikowska, Broniewski, wreszcie Iwaszkiewicz z „Matka Joanną od aniołów". W tym doborowym towarzystwie znalazł się także łódzki poeta Tadeusz Chróścielewski. Jednak jego piękny sonet poświęcony obrońcom Łęczycy w czasie II wojny światowej nie pasuje zupełnie do reszty utworów, utrzymanych przeważnie w konwencji baśni. Czyżby autorki antologii Maria Błaszczyk i Barbara Olszańska nie odczuły głębi wiersza i zmylił je tytuł „Boruta"?

Można również dyskutować nad takim, a nie innym doborem utworów — skoro uwzględniono fragment z „Po górach, po chmurach" Brylla, dlaczego przykładowo nie znalazły się tu urywki z „Sejmu piekielnego", czy „Diabła w swojej postaci" Bohomolca, ba sam Krasicki, choć biskup, co nieco miejsca diabłu poświęcił.

Natomiast na szczególne podkreślenie zasługuje znakomita oprawa graficzna książki, będąca dziełem Bohdana Butenki i stawiająca ją w rzędzie najpiękniejszych edycji tego roku.

A. N.

„Diabli wiedzą co...", Wyd. „Iskry" 1972.

KSIĄŻKA DO MYŚLENIA

„To nie jest książka do czytania" — zastrzega się na wstępie autor, Lech Pijanowski. Autora znamy doskonale, jego „Podróże w krainę gier" były dla czytelników wyjątkowo atrakcyjne. Tak i tym razem proponuje nam Pijanowski „Rozkosze łamania głowy" i rzeczywiście nie jest to książka do czytania, ale do myślenia.

Pijanowski — podobnie jak Urban — nie jest najlepszego zdania o krzyżówkach, nazywa je „rozrywką nie najbardziej mądrą". W zamian proponuje nam mniej pamiętać (papuga ma trzy litery itp.), za to więcej myśleć. Kojarzyć i kombinować. Wyciągać wnioski z danych przesłanek, a z nich nowe przesłanki i nowe wnioski.

Treścią „Rozkoszy łamania głowy" są więc zadania logiczne. To bardzo mądra i pożyteczna książka, ponieważ bardzo nam potrzeba logiki i zdrowego pomyślunku na co dzień. A nie zawsze potrafimy ją znaleźć. Po prostu zbyt rzadko posługujemy się logicznym myśleniem. Lech Pijanowski daje nam do ręki książkę, która nas do tego zachęca. „Nie ma problemów nie do załatwienia i zadań nie do rozwiązania — zapewnia nas autor. — Wszystko, co człowiek skomplikował, człowiek może rozwikłać...".

Lech Pijanowski wystawił też swoich czytelników na ciężką próbę. Na końcu książki bowiem umieścił rozwiązania wszystkich zadań. Ale myślę, że prawdziwi miłośnicy łamania głowy nie będą tam zaglądać przed czasem. Pozbyli by się w ten sposób nagrody, jaką daje samodzielne rozwiązanie zadań. Tą nagrodą jest, satysfakcja. Wbrew pozorom — to bardzo wiele.

Lech Pijanowski „Rozkosze łamania głowy", Wyd. „Iskry" 1972, cena 22 zł.

ENCYKLOPEDIA FILATELISTY

Podobno Polski Związek Filatelistów zrzesza około 170 tysięcy członków. Nie są to, rzecz prosta, wszyscy filateliści, bowiem co najmniej drugie tyle jest zbieraczy niezrzeszonych. Nic więc dziwnego, że książka Ottona Grossa i Kazimierza Gryżewskiego „Podróże w świecie znaczków" zniknęła błyskawicznie z półek księgarskich. Jest to bowiem interesująco i fachowo napisana encyklopedia filatelisty.

A przecież dziś filatelistyka to już właściwie gałąź wiedzy. Tak jest! Wiedzy o przeszłości, o losach państw, o obyczajach, o modach... Któż wie, że oprócz tych „normalnych" znaczków, naklejanych na listy, jest jeszcze kilkanaście rodzajów znaczków — urzędowych, konsularnych, szkolnych (dla celów szkoleniowych poczty), lokalnych, wojskowych... Któż wie, że np. Paragwaj wydaje jedne z piękniejszych serii znaczków, które kupić można we wszystkich firmach filatelistycznych świata z wyjątkiem... Paragwaju? Znaczki bowiem są źródłem dochodów, przedmiotem spekulacji i... towarem eksportowym. Któż wie, że wydawano nieraz serie znaczków państw..., które w ogóle nie istnieją? Znaczki są bowiem także wdzięcznym obiektem dla fałszerzy.

Piszą m. in. autorzy o genialnym fałszerzu Sperattim, którego nawet skazać nie było można, bowiem kodeks francuski nie przyjmuje do wiadomości, że istnieje coś takiego, jak filatelistyka. Gdyby Speratti fałszował znaczki aktualnie będące w obiegu, znalazłby się na niego paragraf, ale mądry Włoch podrabiał egzemplarze stare, których wartość antykwaryczna sięgała tysięcy dolarów, lecz wobec prawa były wycofaną z obiegu makulaturą.

Książka Grossa i Gryżewskiego pełna jest takich historii, pasjonujących i pouczających. Jest ponadto niezbędnym leksykonem dla tych, którzy znaczki zbierają — i ciekawą lekturą dla wszystkich, którzy nawet nie przeczuwają, ile tajemnic i przygód kryje w sobie świat znaczków.

Oskar Gross, Kazimierz Gryżewski „Podróże w świecie znaczków" Wyd. „Iskry" 1972.

„ONEGDAJ"

Trudno zliczyć, ile już napisano świetnych książek o Henryku Sienkiewiczu. Trudno przewidzieć, ile jeszcze takich książek powstanie — wciąż bowiem jest to postać fascynująca i dzieło jego fascynuje... A jednak książka Marii Korniłłowiczówny jest inna od dotychczasowych, jest wyjątkowo urokliwa, owiana ciepłem, nastrojowa... „Onegdaj" napisała wnuczka wielkiego pisarza i jest w tej książce autentyzm zdarzeń, wspomnień, echa rozmów rodzinnych. Szczegóły z życia dziadka zanotowane przez autorkę, ludzie przez nią opisani, to bezcenne informacje... I choć Korniłłowiczówna — jak pisze — „rozminęła się z Sienkiewiczem o dziewięć lat", urodziła się bowiem w r. 1925, to jednak niezmiernie dużo wie o swym dziadku, czerpie garściami z rodzinnych przekazów.

Nieznane anegdoty, wybrane części legendy rodzinnej, przyczynki do powstawania niektórych dzieł Sienkiewicza, prototypy postaci powieściowych, potwierdzone lub ujawnione przez rodzinę — wszystko to wciąga w intymny świat pisarza.

Oczywiście tylko do pewnych granic. Dalej autorka mówi „stop". Wszak Sienkiewicz mawiał: „Wszystko, co miałem do dania narodowi, dałem w moich książkach. Moje życie prywatne należy do mnie...". I choć po latach nieco inaczej patrzymy na te sprawy, to jednak autorka, choć się sumituje, pewnych granic niedyskrecji nie przekracza. To dobrze, bo książka nie traci swego urokliwego, sztambuchowego charakteru. A jeśli ktoś chce pikanterii, niech sięgnie do innych książek.

J. W.

Maria Korniłłowiczówna „Onegdaj", PIW 1972.

SZTUKA PANTOMIMY

ANNA OMULECKA

Wiek XX przyniósł nieograniczone możliwości rozwoju całej sztuki, zaś w sztuce dramatycznej dał szansę najrozmaitszych poszukiwań i rozwiązań. Sztuka dramatyczna, podobnie jak i inne, poszukuje ciągle nowych, oryginalnych form. Daje się wyraźnie zaznaczyć odejście dramatu, powieści czy malarstwa od fabularnej opisowości. Widać to także w poszukiwaniach nowoczesnego baletu (Robbins i Bejart). Muzyka też zmieniła środki wyrazu, formę, emocjonalność, odkryła nowy świat dźwięków. Tymi poszukiwaniami kieruje pasja psychicznego obnażania człowieka, ukazywania jego wzlotów i upadków. Słowo uważane dotąd za jedno z najważniejszych tworzyw sztuki dramatycznej jest wypierane przez gest i ruch, które stają się znakami i symbolami, co często podkreśla pusta scena, zostawiając pole do wyobraźni.

Pantomima, jako sztuka już samodzielna, ma możliwość wypowiadania się właśnie poprzez ruch i gest. Istotą tej sztuki jest to, że przemawia przede wszystkim mową uchwytną dla oczu. Człowiek szuka przecież ciągle wrażeń wzrokowych, stawiając je ponad wszystkie inne. Zjawisko to zauważył już Arystoteles i określił je słowami:

„Cieszymy się najbardziej z wrażeń wzrokowych, przyczyna leży w tym, że zmysł ten, bardziej niż inne zmysły, daje nam poznanie rzeczy i ujawnia liczne różnice między nimi".

Na tej właśnie zasadzie **Gordon Craig**, jeden z wielkich twórców teatru, budował swoją wizję sceny:

„Ludzie chodzą do teatru, aby patrzeć, a potem dopiero, aby słuchać".

Widowiskami, które najbardziej przemawiają do wzroku, są balet i pantomima. Wspólnota tych dwu sztuk jest niezaprzeczalna. Ich podstawą jest ruch ciała w przestrzeni, ale podczas gdy w balecie motorem jest muzyka — mim w pantomimie może obejść się bez niej. Nie jest w każdym bądź razie zależny od muzyki. Podlega bowiem innym regułom, wewnętrznej logice tej sztuki. Balet jednak może być częścią składową pantomimy tak, jak to stosuje **Henryk Tomaszewski**, w sztuce zaś baletu daje się czasem zauważyć przenikanie elementów pantomimy. Widać to choćby na przykładzie **Freda Astaire'a i Gene Kelly'ego**. Zapewne taniec potrzebował tu uzupełnienia i wzbogacenia.

Odrodzenie pantomimy nastąpiło w latach pięćdziesiątych, co ma wpływ na zmiany w balecie i na teatr awangardowy. Pantomima liczy 4000 lat, ale ciągle uważana jest za sztukę nową. Jest może nie dość popularna, gdyż zasięg jej oddziaływania był zawsze wąski. Nie wytworzyła też stałej tradycji, chociaż istnieje od tak dawna. W Grecji starożytnej było znane określenie „mim" — były to sparodiowane sceny konfliktów między bogami, lub komiczne sytuacje z życia codziennego. Mim dramatyczny przyjął się też w Rzymie, a z rzymskiej pantomimy wyrosły później włoskie improwizowane farsy mimiczne. Rozwój pantomimy w Europie odbywał się skokami. Po czasach Cesarstwa Rzymskiego dopiero wiek XVI i XVII z nieśmiertelną komedią dell'arte stworzyły inną odmianę pantomimy. Aktor w niej posługiwał się w równym stopniu głosem i ciałem. Musiał być aktorem, muzykantem, tancerzem. Jego popisy mimiczne odbywały się poza tekstem i miały charakter komiczny. Trzecia faza rozwoju pantomimy — to odnowienie jej już we Francji, kraju literatury. **Debrau** pierwszy wyeliminował ze sztuki mimicznej słowo i uczynił ją sztuką całkowicie samodzielną. Stworzył też „mima intelektualnego" — **gesty stały się wyrazem myśli, powstał wtedy czysty język pantomimy.** Wielkim twórcą odrodzonej sztuki był **Etienne Decroux**, który założył nawet szkołę mimów. Z niej wyszli dwaj najwybitniejsi mimowie naszych czasów: **Jean Louis Barrault** i **Marcel Marceau**. Ten pierwszy stworzył mima czystego, gdzie tylko ciało odgrywało rolę (zrezygnował nawet z mimiki twarzy, którą zasłonił), nie stosuje efektów świetlnych, dekoracji, kostiumów.

Tak więc wiek XX uczynił pantomimę sztuką całkowicie samodzieną, dramatyczną i wniósł do niej pierwiastek intelektualny. Najkrócej można o tej sztuce powiedzieć słowami Barraulta:

„Pantomima stara była sztuką niemą, nowoczesna jest sztuką milczącą".

W Anglii rozwinął się typ music-hallu, który przeszedł do historii pod nazwą pantomimy angielskiej, a która miała charakter komizmu farsowego. Została ona również przeniesiona na biały ekran. Silne związki z pantomimą można zaobserwować w początkach filmu okresu niemego, ale komizm tkwił tu tylko w sytuacjach, tzw. gagach. Najlepszym tego przykładem była sztuka **Charlie Chaplina**; dziś kontynuatorem tego rodzaju stał się **Jacques Tati**.

Do dziś w krajach Wschodu pantomima jest głównym składnikiem przedstawień, chociaż również ulega przemianom. Teatr Wschodu wyrastał jak każdy teatr z uroczystości religijnych i obrzędów. Ciekawą sprawą jest to, że teatr chiński, który powstał wcześniej niż teatr grecki, do dziś zachował dawną postać, gdy tymczasem grecki stał się zamkniętą kartą historii.

Spotkanie Europy z teatrem japońskim w początku XX wieku (w Polsce oglądano go w 1902 roku) wywarło silny wpływ na dalszy rozwój dramatu w kręgu naszej europejskiej sztuki dramatycznej. Gest i mimika w tym teatrze były najważniejszym elementem, mimika zajęła tam miejsce monologu, który w dramacie europejskim dominował. Ta inność zafascynowała świat teatru. Ówczesny krytyk Kisielewski pisał:

„Jest to poemat dźwięków i linii, harmonii, stylizowanych gestów i słów, przedziwna całość symfoniczna gry, kostiumu — to muzyka, taniec, malarstwo, poezja i śpiew stopione w sztukę wyższego rzędu".

Inny krytyk pod wpływem tego teatru napisał:

„Nie słowo mówione jest pierwszą podstawą teatru, ale ruch i gest".

Sztuka ta odkryła inne, nowe możliwości aktora, ukazała, czym może być aktor w teatrze i jaką siłą jest jego talent, żywioł i intuicja.

Pantomima w swoich poszukiwaniach dąży do bezpośredniego oddziaływania na widza. Opiera się to na tym, że gest, ruch, wyraz ciała przekazywany przez aktora-mima, jest instynktownym objawem wrażeń, wzruszeń i namiętności, gdy natomiast słowo jest już następną, bardziej wyraźną, uświadomiona formą. W pantomimie gest i poza nie są uwolnieniem się od słowa, ale oddzieleniem się od niego w postaci czynnika samoistnego. Gest jest zawsze związany z zachowaniem się człowieka, towarzyszy mu, pomaga w porozumieniu się z innymi ludźmi. Jest akompaniamentem do słów, lub uzupełnia je. Ale gest pantomimiczny ma inne znaczenie, niż to, które odbija gest codzienny. Musi natomiast oddawać ideę ruchu i sytuacji. Ruch zaś ma szczególne znaczenie. Jest przecież głównym środkiem wyrazu pantomimy i nie jest ilustracją tekstu, lecz tworzy samoistny tekst mimodramatyczny. Tekst literacki jest tu osią, wokół której narasta dramaturgia. Ten ruch, działanie na scenie, tworzy akcję, która musi toczyć się bez przerwy, w maksymalnie skoncentrowanym czasie (oczywiście jest tu mowa o pantomimie XX wieku) i musi zawierać myśl przewodnią, właściwy wybór okoliczności akcji, motywujący artystyczny sens faktu milczenia. Pantomima wymaga też dla jasności fabuły — jednej akcji. Tak jak w poezji nie może być żadnego zbytecznego słowa, tak i w tej sztuce nie może być ani jednego zbędnego gestu.

Pantomima daje duże możliwości; występy mimów mogą być zarówno solowe jak i zespołowe. Można ją grać z towarzyszeniem muzyki lub pieśni, na tle bogatej dekoracji, ale i na jednorodnym tle. Skala pantomimy jest rozległa: od humoreski do tragedii, od skeczu obyczajowego do syntezy filozoficznej. Szczególnie uprzywilejowany jest śmiech, wynikający ze wszystkich rodzajów komizmu — z humoru, żartu, ironii, sarkazmu, groteski, bufonady, parodii, pamfletu, karykatury.

Pantomima jak i cała sztuka teatralna, nie rości sobie praw do rozwiązywania pytań o sens istnienia człowieka. Chce dostarczyć wrażeń i emocji. Można to określić słowami **Jerzego Grotowskiego:**

„Teatr powinien wywołać w człowieku uczucie i wrażenie nie znane na co dzień, wywołać wstrząs".

A sztuka pantomimy potrafi dostarczyć niezwykłych i niecodziennych wrażeń. Komunikatywność tego teatru jest większa niż teatru „tekstowego". Usuwa problem języka, ale nie jest zawsze w stanie złamać barier kulturowych. I tak na przykład teatr japoński, posługujący się językiem pantomimy, może być przez nas źle odczytany, lub niezrozumiały.

W Polsce można zaobserwować ożywione zainteresowanie pantomimą. Wprawdzie ze względu na specyfikę tej sztuki, krąg widzów nie jest duży, ale przyczyny tego faktu należy szukać w braku tradycji tego teatru w Polsce, podczas gdy na przykład we Francji jest to gatunek dosyć popularny. W Polsce działa (od 1958 roku) **Pantomima Wrocławska Henryka Tomaszewskiego.** Jego to działalność stała się nowym okresem w historii europejskiej pantomimy. Stworzył on pantomimę zbiorową. Tematyka jego twórczości jest niezwykle bogata i interesująca, sięga bowiem zarówno do znanych utworów literackich, np. Mikołaja Gogola, Wiktora Hugo, Tomasza Manna, jak też do polskich tradycji ludowych lub tradycji innych krajów, do klasycznej pantomimy włoskiej i francuskiej.

Do pantomimy sięgał od początku swego istnienia amatorski teatr studencki. Element improwizacji, bufonady i żywiołu był przywilejem młodego, szybko rozwijającego się ruchu. Jednym z najciekawszych amatorskich teatrzyków był **Cyrk Rodziny Afanasjewa.** Ich pantomima była samodzielnym, indywidualnym dochodzeniem do prawd tej sztuki. Teatrzyk ten stworzył własny styl, będący połączeniem — postaci — masek z komedii dell'arte ze smutnym nastrojem prowincjonalnego, ubogiego cyrku, a mim Ronczewski, odcinając się od poczynań Pantomimy Wrocławskiej, traktował gag jako podstawowy element. Jerzy Afanasjew tak określił swoje poczynania:

„Nasze nieme słowa w tym teatrze były naszym krzykiem. Były zjawiskiem buntu przeciwko nadmiernej, bezmyślnej, epigońskiej inscenizacji we współczesnym nam teatrze, przeciwko teatralnemu molochowi, maszynie teatralnej, przykrywającej i zjadającej aktora".

Ten bunt zrodził inne inicjatywy. Powstało wiele teatrzyków pantomimy — **„Gest"** we Wrocławiu, którym kieruje mim, **Jerzy Puzilewicz**, wychowanek H. Tomaszewskiego, **Studio Pantomimy** w Szczecinie, **Scena Pantomimy** przy studenckim teatrze **„Hybrydy"** w Warszawie. W 1969 roku powstaje również scena pantomimy przy **Klubie Studentów** w Łodzi, która daje trzy premiery.

Powstawanie tych różnorodnych scen czy scenek tworzy już pewną tradycję w naszym kraju. Odbywają się nawet **festiwale pantomimy w Szczecinie.** Poszukiwanie nowych dróg tej sztuki jest znakiem, że tego typu teatr znajduje coraz więcej zwolenników, gdyż mówi o człowieku, a człowiek ją tworzy.

Film krótki - o czym i dla kogo?

Dalszy ciąg ze str. 1

Chełmskiej wychodzą 102 wydania Polskiej Kroniki Filmowej, ponad 50 filmów realizowanych dla telewizji, 15 filmów tzw. zleceniowych, realizowanych dla potrzeb przemysłu, handlu zagranicznego, propagandy, turystyki oraz 4 — 6 filmów fabularnych, realizowanych w hali zdjęciowej, znajdującej się w administracji WFD.

„Polski dokument", jak popularnie określa się filmy Wytwórni Filmów Dokumentalnych, przeżywał różne okresy, od pionierskiego, rejestrującego powstawanie odrodzonej Polski i ugruntowywanie się władzy ludowej, poprzez okres tzw. schematyzmu, odznaczający się najczęściej nudnymi, sztampowymi filmami, odziaływającymi pod względem propagandowym akurat odwrotnie, niż to zakładali ich ówcześnie programowi opiekunowie. Miał też „dokument" swój mały renesans w końcu lat 50-tych, łącznie z tzw. „czarną serią", miał także okres **manieryzmu** — regresu z lat 60-tych, kiedy to za obowiązującą przyjęto manierę kilku mistrzów z WFD, aż do **„wybuchu" młodych poszukujących, kłótliwych.**

Ostatnie filmy realizatorów WFD, ciekawe pod względem artystycznym, unikające wyeksploatowanych przez mistrzów chwytów i schematów i poszukujące nowych formuł wypowiedzi, w jednym jednak są wspólne z mistrzami, od których młodsi nie mogą się oderwać. Tym mankamentem polskiego filmu dokumentalnego, jak to określił jeden z dyskutantów na łamach tygodnika „Ekran", jest **„pejzażowość i poetyckość. Przez to brak w filmach WFD pragmatyzmu, rzeczowości i chodzenia po ziemi. Albo lakierowane dworactwo wobec spraw trudnych lub też pokazywanie języka i wydziwianie nad osobliwościami i marginesami współczesności".**

Jednak przy wszystkich wątpliwościach i różnych wahaniach WFD jest w chwili obecnej najpoważniejszym producentem polskiego filmu krótkometrażowego, publicystycznego, propagandowego. **Zespół realizatorów WFD wraz z zespołem redakcyjnym tej wytwórni cechuje największa operatywność, zmysł artystyczny i filmowy. Środowisko twórcze warszawskiego „dokumentu" w całym środowisku filmowym, pracującym w polskim filmie krótkometrażowym najszybciej potrafiło zrozumieć i nawiązać pożyteczny dla obu stron dialog i codzienną współpracę z odpowiednimi redakcjami Telewizji Polskiej, realizując z roku na rok coraz większą ilość wartościowych pozycji filmowych, telewizyjnych.** Wyrazem tej współpracy i dokonującej się jeszcze czasami trudnej integracji tych dwóch środowisk twórczych — WFD i TV, jest stały telewizyjny program studyjno-filmowy **„Polski Film Dokumentalny"**, systematycznie popularyzujący najciekawsze pozycje krótkometrażowe warszawskiej WFD. Trzeba przyznać redaktorom tego programu, że lojalnie traktując produkcję pozostałych wytwórni krótkometrażowych, również prezentują ich dorobek.

Kierownictwo WFD stara się kierować zespołem twórczym w myśl zasady, którą kiedyś sformułował John Gierson, twórca angielskiej „szkoły dokumentalnej" lat trzydziestych, współdziałający z radzieckim dokumentalistą Dżigą Wiertowem: **„Film dokumentalny należy traktować jako trybunę i używać go jak propagandzista z poczuciem społecznej odpowiedzialności".**

A więc odpowiedzialność. Ważkie słowo, które w propagandzie nabiera i będzie nabierało coraz większego znaczenia. **Ale odpowiedzialność to także odwaga dobierania tematów dla filmów krótkometrażowych.** Na razie jednak łatwiej trafiają do realizacji tematy okolicznościowe, będące nawet rzetelną informacją, ale wielokrotnie beznamiętne, nie interpretujące wydarzeń i faktów. Zespół twórczy WFD mimo to udowadnia, że jest w stanie podjąć dyskusję na każdy temat z codziennego życia kraju, czego przykładem jest w miarę elastyczne, operatywne planowanie tematyki i możliwość doraźnego wprowadzania do produkcji aktualiów życia politycznego i społecznego.

Pewnym obciążeniem organizacyjnym dla warszawskiego „dokumentu" stała się z biegiem lat wyhodowana na własnym podwórku „fabuła". Film fabularny w Polsce ma nieco inne zadania, a przede wszystkim inne rygory i środki finansowe, które nie tylko są atrakcyjne dla kieszeni środowiska twórczego polskiego filmu krótkometrażowego, ale także wielokrotnie są dyktującymi i spychającymi w kąt gospodarza, czyli WFD. Ten korzystnie kiedyś oceniany mariaż „dokumentu" i „fabuły" nie wyszedł na korzyść temu pierwszemu. Nasuwa się zatem refleksja, czy system „wspólnej kasy" i jednego ośrodka dyspozycyjnego dla filmu fabularnego i krótkometrażowego ma dalej swoją rację bytu? Czy też nie słuszniejsze z wielu względów tak merytorycznych jak i organizacyjnych powinno być przybliżenie, a nawet zespolenie krótkiego filmu z telewizją dla wspólnego programowania i wspólnej produkcji?

INNI Z KRÓTKIEGO METRAŻU

W wykonywaniu zadań propagandowych i edukacyjnych poważną rolę odgrywa **Wytwórnia Filmowa „Czołówka"** w Warszawie, powołana pod koniec lat 50-tych, a mająca swojego prekursora w słynnej, owianej już legendą Czołówce Filmowej Wojska Polskiego. Sprawy wojska, obronności, wychowania patriotycznego i ideowego znajdują się na poczesnym miejscu w tematyce tej placówki, która częściowo korzystając z kadr realizatorskich warszawskiej WFD z powodzeniem realizuje filmy dokumentalne, historyczne, propagandowo-informacyjne oraz szkoleniowe. „Czołówka" ściśle współpracuje z resortem Ministerstwa Obrony Narodowej, będąc głównym producentem filmów szkoleniowych i instruktażowych dla armii.

Drugim w Polsce po WFD producentem filmu krótkometrażowego jest łódzka **Wytwórnia Filmów Oświatowych,** powołana do działania 29 grudnia 1949 r.

W ciągu przeszło 20 lat istnienia WFO zrealizowała blisko 2 tys. filmów krótkometrażowych. A więc dość pokaźną filmotekę. Są tu filmy popularno-naukowe, szkolne, instruktażowe, dokumentalne, rejestrujące ważne wydarzenia kultury i sztuki, nauki i techniki, popularyzujące różnorodne dziedziny wiedzy technicznej i społecznej. W sumie na pewno są to filmy użyteczne społecznie, choć nie wszystkich satysfakcjonujące artystycznie. WFO natrafia w swojej produkcji na pewne trudności nie tylko natury technicznej — „polska technika filmowa jest przestarzała", ale na trudności również natury twórczej.

CO DALEJ Z WFO?

Wyniki ostatniej narady środowiska twórczego WFO z kierownictwem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Naczelnego Zarządu Kinematografii nie nastrajają optymistycznie. Kierownictwo obu wymienionych instytucji **dość wyraźnie zarysowało koncepcję dalszej pracy WFO, jako podstawowego w Polsce producenta filmów popularno-naukowych i dokumentalnych, ukazujących problemy i sprawy nauki, techniki, wychowania, kultury, historii, ideologii i propagandy, a rozpowszechnianych i realizowanych dla TV oraz oświaty, rolnictwa i przemysłu.** W tej dyskusji środowisko WFO nie przedstawiło skrystalizowanego poglądu na własną dotychczasową twórczość, a przecież potrzebną w procesie edukacji społeczeństwa.

W łódzkiej „oświatówce" powiało niepewnością o „dalsze losy wytwórni", jak to określano w wielu wypowiedziach. Wiąże się to z planowanym przejściem do roku 1975 na taśmę filmową 16 mm, a więc przeniesieniem obróbki taśmy z WFO do centralnego laboratorium łódzkiego, w które ma być przekształcona dotychczasowa Łódzka Wytwórnia Kopii Filmowych. Mówiono o wyliczeniach ekonomicznych, mówiono o ludziach, których jak „towar" ma się przerzucać do innej firmy, do innego środowiska; mówiono o przywiązaniu do macierzystej WFO.

Wszystko to prawda i sądzić można z wypowiedzi kierownictwa Ministerstwa Kultury i Sztuki, że te sprawy będą załatwione tak, ażeby ludzie nie czuli się pokrzywdzeni, ale, aby także poważne środki finansowe, w tym dewizy, zostały właściwie i jak najkorzystniej wykorzystane dla produkcji filmowej w Łodzi.

GDZIE TWÓRCZY NIEPOKÓJ?

Ale chyba nie te problemy powinny być główną przyczyną niepokoju środowiska WFO. Rozlegają się głosy, poddające w wątpliwość celowość kontynuowania dotychczasowych proporcji tematycznych WFO. Jako alternatywę programową w stosunku do dotychczasowego kierunku programowego WFO, marzy się poniektórym przekształcenie WFO w rodzaj instytutu naukowego, zajmującego się przede wszystkim produkcją specjalistycznych filmów naukowych, dydaktycznych, adresowanych do stosunkowo wąskich środowisk naukowych. Czy nie jest to swego rodzaju spóźniona o kilka lat ucieczka w kierunku dość wąskiej, specjalistycznej produkcji filmowej, z której korzystać będą mogły tylko kręgi naukowców, skupionych w instytutach i ośrodkach naukowych, a jak wiadomo, produkujących już na własny użytek filmy rejestrujące dokumentujące doświadczenia naukowe, eksperymenty i badania. Owe chęci szukania szczęścia poza resortem Kultury i Sztuki — w innych resortach, zajmujących się w kraju nauką i oświatą, wydają się co najmniej dziwne, jeśli nie karkołomne. **Funkcjonowanie WFO w resorcie Kultury i Sztuki, w całym propagandowym i informacyjnym pionie, związane jest z wypełnieniem określonych zadań w zakresie edukacji społecznej i politycznej, a adresatem filmów produkowanych w WFO muszą być szerokie kręgi społeczeństwa, a nie grupy specjalistów, dla których notabene nie zamyka się całkowicie możliwości filmowych rejestracji i dokumentacji ewenementów życia naukowego.**

Dobry, użyteczny film popularno-naukowy, czy dokumentalny, to nie tylko ciekawy i ważny społecznie temat, to także czas, w jakim ten temat zostanie zaprezentowany odbiorcy: w kinie, w sieci „Filmosu", czy na antenie telewizyjnej. To konieczność szybkiej, operatywnej i zdecydowanej realizacji, bo przecież „czas to pieniądz". A pieniądz, jak wykazują dane o kosztach produkcji filmu krótkometrażowego, jest bardzo ciężki, odstraszający m. in. telewizję, która swoje filmy krótkometrażowe realizuje w Zakładach Produkcji Filmów Telewizyjnych po prostu taniej, chociaż czasami gorzej jakościowo. Bo słusznie stwierdzono, we wspomnianej już dyskusji w tygodniku „Ekran", że „...można podjąć próbę zdystansowania tego, co telewizja robi w sposób dziesięciokrotnie gorszy, ale bieżącą obserwacją dogonić oczywiście nie można autorów telewizyjnych, ponieważ oni to robią choć gorzej, ale w tempie karabinu maszynowego".

Obawy środowiska budzą doświadczenia wyniesione z dotychczasowej współpracy z TV. Do chwili obecnej bowiem poza ramową umową między kinematografią a telewizją, dotyczącą zasad wspólnej produkcji filmowej, fabularnej i krótkometrażowej, brak jest ustalonych roboczych kontaktów obydwu środowisk. Stąd wiele spraw pozostaje niedomówionych i rzutuje wielokrotnie na tzw. dobre samopoczucie filmowego środowiska twórczego. A sedno chyba w tym, że brak konwenansów i czasu na niekończące się dyskusje nie powinien przesłaniać tego, że idzie o sprawną realizację określonych zadań programowych, w postaci konkretnych filmów, adresowanych do najszerszego audytorium w kraju — wielomilionowej widowni telewizyjnej. **I dlatego celowe byłoby powołanie wspólnego ośrodka, dysponującego nie tylko środkami finansowymi na produkcję filmową — dokumentalną, popularno-naukową i telewizyjną, ale także dysponującego zespołami realizatorów, dziennikarzy, redaktorów i wytyczającego przy pomocy tych zespołów wspólne kierunki programowe.** Dokumentalna i popularno-naukowa twórczość filmowa od wielu lat przestała być już tylko profesją wąskiej grupy specjalistów — reżyserów filmowych, a stała się udziałem także dziennikarzy i publicystów z różnych dziedzin. Dalsze utrzymywanie podziału na profesjonalistów — filmowców i profesjonalistów — dziennikarzy oraz realizatorów telewizyjnych, nie wróży pomyślnego wypełniania w społeczeństwie zadań edukacyjnych, propagandowych i dydaktycznych.

CZEKANIE NA DYSTRYBUTORA

Trzy są obecnie sposoby rozpowszechniania krótkiego metrażu w Polsce: **Centrala Filmów Oświatowych „Filmos", Telewizja Polska i Centrala Wynajmu Filmów.** „Filmos" wymieniamy na początku ze względu na zasobność filmoteki. Telewizja jest najważniejsza ze względu na wielkość audytorium. Znaczenie Centrali Wynajmu Filmów, obsługującej tylko sieć kin, jednoznacznie z roku na rok maleje, choć do niedawna była to droga rozpowszechniania bardzo znacząca. Koncepcje ekonomiczne w odniesieniu do kin, coraz skuteczniej jednak eliminują z szerokich ekranów dodatki krótkometrażowe.

Na polu pozostają więc „Filmos" i Telewizja. Kilkunastomilionowe audytorium telewizyjne z filmami krótkimi spotyka się najczęściej. **Telewizja** — można to śmiało powiedzieć — zapoznała masową publiczność z filmem krótkim we wszystkich odmianach. Od animowanych „Bolków i Lolków" na „Dobranoc", po cykliczne programy filmów dokumentalnych i oświatowych, a nawet przez urwane cza-

CZARNA KSIĘGA F. J. STRAUSSA

Światem kapitalistycznym od czasu do czasu wstrząsają afery korupcyjne. Cel korupcji jest dość jasno określony — najkrótsza droga zysku. Jednak korupcja w świecie rekinów przemysłu i finansjery, to rzecz trudna. Przeciwnicy na ogół zbyt dobrze znają tego rodzaju chwyty. Korupcja, łapownictwo rodzą się w świecie kapitalistycznym na styku państwo — interes prywatny. Korupcja rodzi się więc u źródeł władzy, tzn. tam, gdzie politycy w imieniu wyborców i podatników operują ogromnymi kapitałami w imię dobra ogólnego. Żerowanie na tych kapitałach jest celem korupcji, a w praktyce sprowadza się to do krzątaniny wokół portfela państwowych zamówień, najczęściej dostaw dla wojska: broni i sprzętu. Tam najłatwiej o zysk.

Kiedy młody bawarski polik (42 lata) **F. J. Strauss** objął tekę ministra obrony, stanął przed poważnymi problemami prawa — życia — polityki. Młoda i tworząca się właśnie Bundeswehra stała przed problemem odpowiedniego wyposażenia. Strauss podpisał kontrakt na dostawę 10.680 czołgów obronych ze szwajcarską firmą „Hispano Suiza". Pierwsza rata należności jeszcze przed rozpoczęciem produkcji wyniosła 205 mln DM. Suma to niebagatelna. Sprawa potoczyłaby się własnym torem, gdyby nie parlamentarna interpelacja SPD, której wydawało się dziwne, że tak poważne zamówienie zostało powierzone firmie, która do tej pory nigdy czołgów nie produkowała, a ponadto nie zobowiązywała się w umowie do przedstawienia serii próbnej, jak jest to przyjęte w handlowych zwyczajach.

Interpelowany minister nie speszył się przedstawionymi zarzutami, spokojnie oświadczając, że kontrakty zostały już poprawione i nie ma sensu ich rozwiązywać. Pierwszy etap sporu zakończył się powołaniem odpowiedniej komisji do sprawdzenia treści umowy. Wynik był dość nieprzyjemny dla ministra. Okazało się, że kontrakt zawarto z licznymi usterkami, a w każdym razie w sposób sprzeczny z zasadami gospodarności. „Hispano Suiza", która z kontraktu wywiązała się z poważnym opóźnieniem, zażądała jeszcze dodatkowo 80 mln DM, które też zapłacono.

Dziennikarze wykryli jednak nowe interesujące okoliczności zawarcia kontraktu. Ujawniono mianowicie, że do 1953 roku w urzędzie kanclerskim funkcję sekretarza stanu sprawował adwokat dr Otto Lenz, członek kierownictwa frakcji CDU/CSU, który jednocześnie prowadził kancelarię adwokacką, mając za wspólnika adw. F. Aretza, będącego jednocześnie przedstawicielem „Hispano Suizy". I tutaj koło się zamyka. Obydwaj prowadzili rokowania handlowe w imieniu firmy z Ministerstwem Obrony, mając oczywiście przemożny wpływ na zawarcie kontraktu. Po jakimś czasie znaleziono także świadka, który przedstawił Straussowi listę osób z jego ministerstwa, które z tejże okazji otrzymały wysokie prowizje, sięgające w sumie 18 mln DM. Listę tę wręczył świadek ministrowi, ostrzegając go jednocześnie przed konsekwencjami umowy. Strauss jednak przed parlamentem nie potwierdził tego faktu i sprawa, z braku innych dowodów, umarła śmiercią naturalną. Po sprawie pozostała jednak obfita dokumentacja.

LATAJĄCE TRUMNY

W kilka lat później stanął przed ministrem Straussem problem wyposażenia Bundeswehry w nowoczesny sprzęt lotniczy. Tym razem, ze względu na rozmach przedsięwzięcia, sprawą zajął się sam Strauss. Kontrakt na dostawę najnowocześniejszych samolotów miał oczywiście duże znaczenie polityczne. Strauss udał się więc do wielkiego sojusznika — USA, w celu wyboru odpowiedniego typu samolotu. Minister jeszcze przed zawarciem kontraktu wypowiedział się za zawarciem umowy z firmą amerykańską Lockheed, produkującą samoloty typu Starfighters F-104. Opinię publiczną zadziwiły jednak dwa fakty: Strauss zamówił wersję samolotu, która jeszcze nie istniała. Według amerykańskiej wersji, Starfighter był myśliwcem rozpoznawczym, używanym jedynie

sami w połowie projekcje „zatkaj-dziury", czy „bufory", w których to rolach filmy krótkometrażowe też występowały. I choć powiedzieć można, że filmy krótkie nie są w telewizji programami najpopularniejszymi, nie ulega wątpliwości, że jednorazowa emisja telewizyjna daje filmowi krótkiemu widownię, której nie zyskałby przez wiele lat tradycyjnego wyświetlania w „Filmosie', czy w pełnym obiegu dodatku z przeciętnie atrakcyjnym filmem fabularnym.

Jest więc telewizja już teraz formą rozpowszechniania, która na stan krótkiego metrażu wpływa w sposób znaczący i w przyszłości o kształcie filmu krótkiego — dokumentalnego czy popularno-naukowego będzie zapewne decydować.

„FILMOS" — specjalistyczna centrala rozpowszechniania filmów oświatowych dysponuje filmoteką, obejmującą kilkanaście tysięcy tytułów z różnych dziedzin. Za pośrednictwem „Filmosu" krótki metraż filmowy dociera do różnych środowisk. Filmy krótkometrażowe są oglądane przez widzów, ale kim oni są? Trudno podać liczby mówiące coś więcej, niż to, że ktoś określone filmy ogląda, bo jedne są wyświetlane częściej od drugich, bo ilość kopii jednego tytułu różni się od ilości kopii drugiego. Nie będzie więc refleksji nad widownią, nad jej społecznym składem, nad efektywnością społecznego oddziaływania filmów dokumentalnych i popularno-naukowych. A szkoda, bo mogłyby to być refleksje ciekawe i wiele dające do myślenia o funkcjonowaniu filmu krótkometrażowego w kraju. Prowadzono badania socjologiczne, zarejestrowano pewien stan. To prawda, ale było to dość dawno, a opisu sytuacji dzisiejszej nie znamy. Trzeba więc ponownie określić skuteczność aktualnych form rozpowszechniania filmu krótkiego i skonfrontować z programowymi założeniami propagandowymi, przyświecającymi mecenatowi państwa nad tą dziedziną twórczości. Na tej podstawie wytyczyć będzie można zarówno sfery tematycznych penetracji filmu krótkiego, jak też najefektywniejsze drogi dotarcia tego filmu do adresatów.

Tematyczna rozległość, ogromne merytoryczne rozproszenie, mało znana skuteczność oddziaływania, tak charakterystyczne dla generalnego obrazu dzisiejszego filmu krótkometrażowego, jest rezultatem rozproszenia działań, braku dyscypliny i harmonii programowej, związanych z konsekwentną realizacją określonych założeń, adresowanych do przewidywanych audytoriów.

WŁODZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK
ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

GIOTTO i $$

Italia szczególnie jest uprzywilejowana przez bogi: ma najlepsze w świecie położenie geograficzne, oblana zewsząd ciepłym morzem, gdzie wilgotne, przesycone solą i jodem wietrzyki przelatują nad nią orzeźwiając największe upały i pobudzając do działania.

A że i Włochów bogi szczególnie uprzywilejowały artystyczną naturą i wrażliwością, a antyczne kultury wykształciły w nich umiar i klasyczny porządek, więc otrzymaliśmy w spadku ogromną sztukę tak, że teraz jeszcze rozpala naszą wyobraźnię. Jeśli ktoś chociaż raz był w Italii, zawsze do niej będzie tęsknił i to nie dlatego, że wrzucił swój pieniążek do Fontanny di Trevi.

To historia ciągle odżywająca na nowo; ciągle wprawiająca nas w zachwyt i zdumienie. To tak, jakby człowiek ciągle wracał do swego dzieciństwa, do dobrych czasów.

Tu m. in. żyło i pozostawiło po sobie arcydzieła dwóch wielkich artystów; obydwaj działali w tym samym czasie na przełomie wieku XIII i XIV. Tak bardzo od siebie różnych i tak bardzo pięknych. **Duccio di Buoninsegna** działający głównie w Sienie i **Giotto di Bondone**, któremu Florencja była ojczyzną. Giotto, który „malarstwo greckie na łacińskie przetłumaczył", Duccio, jeden z głównych twórców Szkoły Sieneńskiej mocno trzyma się konwencji bizantyńskiej — złote tła na drewnie, sieny palone, żywa czerwień, emaliowe biele, błękitne pobłyski i głębokie indyga. Modelunek raczej surowy. Kompozycja usystematyzowana w rytmy bizantyńskie, łagodzone włoską pogodą.

Mimo upłynięcia bez mała 6 wieków od powstania tych arcydzieł, barwy świecą i mienią się, jakby wczoraj były malowane. Prace jego rozprzestrzeniają się po całej Italii, bo to mistrz nad mistrze, ale głównie pracował w Sienie. Tam też jest muzeum, w którym zgromadzono mnóstwo jego prac (Pala della Maestra). Siena jest rudo-czerwono-złota, malarstwo Duccia takie same. Sztuka jego jest tak związana z jego miastem, z jego kolorytem, że wydaje ci się, że jest dalszym ciągiem sieneńskiego pejzażu. Ziemia, drogi, pola uprawne w tym kraju są także rude. A na niej od czasu do czasu wyskakują geometryczne, szare, błękitne czy granatowe stoki pagórków i wzgórz. To samo widzimy u Duccia, przekształcone w szaty czy fragmenty ubiorów Madonn i świętych. Tło rysowane płynnym rysunkiem, a na to nałożone prawdziwe złoto, nie żaden tam szlagmetall czy pozłótka. Gdy patrzysz i próbujesz analizować jego obrazy — a są to jakby rzekł dzisiejszy znawca „święte komiksy", zostajesz wciągnięty bezwiednie w głąb tej cudownej roboty. Widzisz, że mistrz tak długo modelował oblicza Madonn, aż zaświeciły blaskiem i ożyły. Mistrz niejako sycił powoli, cierpliwie i z pietyzmem wzmacniał barwy, operował lazerunkiem na podkładzie temperowym. Drewno jest materią szlachetną; tempera również; tak wówczas malowano.

Tempera jest stokroć trwalszą farbą niż olej, który na płótnie ciągle ulega zmianom, tak że olejne malowidła trzeba pokrywać warstwami werniksu, który ma chronić ją przed zwiędnięciem. A tu raz namalowana, raz zawoskowana (w ten sposób utrwalano i zabezpieczano temperę) i obraz jak nowy po upływie tylu wieków i myślisz, że wynalazek olejnego malowania wcale nie jest znowu taki najlepszy. Praca w technice temperowej pozwala na większą precyzję, nie mówiąc już o trwałości samej farby, w której po wyschnięciu, nie zachodzą żadne już perturbacje techniczne, jak to w malarstwie olejnym się często dzieje.

Duccio był malarzem bizantyńskim, ale to już jest włoskie nie konstantynopolitańskie schematyczne i urzędniczo uszeregowane. Tam, gdzie Bizancjum się narodziło, skostniało w przepisach — tu zaczęło żyć na nowo swoim własnym życiem, bo mistrz włoski je malował. Mistrz malował ciągle Madonny: temat zdawałoby się monotonny i ograniczony — a jednak każda jest inna, w innym układzie kompozycyjnym i tonacji. Wyszukiwanie różnic i podobieństw, odcieni kolorystycznych i niuansów jest wielką satysfakcją.

Mistrz mówił spokojnym głosem, ponieważ był mocnym i stał na pewnym gruncie. To spokojna i łagodna siła człowieka, który wiedział czego chciał. To nie agresywne wrzaski współczesnego, słabego, zagrożonego ciągle malarza. Obrazy Duccia powstały 6 wieków temu — bardzo dawno.

Czy straciły aktualność?

Nie.

Czy Madonny są starym, ogranym i wyświechtanym tematem?

Nie.

Czy kult Matki się skończył?

Nie.

Czy Madonna nadal istnieje?

Tak.

Dlaczego?

Bo Duccio ją malował.

* ★ *

Drugim malarzem równie pięknym i chwytającym za serce i wyobraźnię jest ten, „co grekę w malarstwie na łacinę przełożył". To Giotto florentyńczyk, którego Cimabve wziął od pasania owiec do fachu malarskiego. To malarz, który powstał z ziemi florenckiej, z dawnej Ziemi Etruskiej. Prace jego, również rozsiane są po całej Italii, ale szczególnie w Padwie, w Capella degli Scrovegni występują w takiej ilości na raz. Ale u Giotta pojawia się coraz przemożniej pejzaż toskański. Białe, kredowe wzgórza z rozpadlinami jak nożem cięte, rzeźbiarskie nieomal z rosnącymi na nich kalafiorkami drzew i architekturą gotycką. Takie wzgórza widzi się z okien pociągu na trasie Rzym — Florencja. Gotyk tu biały, wesoły i kolorowy, zupełnie jak układany z klocków, dziecinny i młodzieńczy.

Do Giotta również przyszła Madonna z Dzieciątkiem, ze wszystkimi świętymi i diablami i opowieści o świętych pańskich. Przyszedł sam Francesco i Sante Chiara — im to wiele fresków mistrz poświęcił.

Giotto jest malarzem fresków przede wszystkim, chociaż zdarzało mu się i na drewnie malować. Wapienna farba i świeży tynk jest również szlachetnym tworzywem jak drewno i tempera.

Dotychczas widzi się wiele jego fresków tak świeżych i znakomicie zachowanych, że zdawałoby się wczoraj dopiero malowanych. Znał wspaniale swoje rzemiosło. Wyczuwał potrzeby tynku, wiedział, w jakim czasie rzecz malować, aby schnące podłoże wapienne w porę zdążyło pokryć szkliwem malowidło i utrwalić je na zawsze. Był mistrzem szybkiej roboty — świeży tynk wymaga bowiem szybkiej realizacji.

W swoich kompozycjach formował pejzaż, skały, architekturę i ludzi, łacińskim, mimo gotyku porządkiem. W fałdach szat postaci więcej jest renesansowej muzyki, niż gotyckiej łamliwości. Odnosi się wrażenie, że mistrz zabawiał się farbami, a nie pracował, tyle w tym dziecięcej radości. Ustawiał kolorowe klocki architektury, jasne postaci wkomponowywał w piękny błękit. Zabawa to pełna światła i ożywionej rozmowy. A przecież wszystko to było wykonywane na zamówienie; mecenas, czyli Kościół, dobrze wiedział, komu zleca robotę i czego może się po nim spodziewać.

I tu znowu ten sam temat, ale zupełnie inaczej z punktu widzenia formalnego potraktowany.

Mimo, że obydwaj — Duccio i Giotto — żyli w tym samym czasie — Giotto otworzył drzwi na inny porządek niż bizantyński. Wówczas mistrz na pewno był nowatorem w pięknej sztuce malowania, ale dzisiaj jesteśmy w rozterce, który jest piękniejszy — bo obydwaj są wspaniali.

Giotto miał wiele roboty; powstawały kościoły, świeże tynki czekały na niego. Na wielu wymalował całą Dobrą Nowinę, wzruszającą historię bożego Poverello, dzieje wszystkich świętych Kościoła.

Jeździł po całej Italii i wszędzie swój ślad zostawił; aż dziw bierze, że jeden człowiek mógł tyle dokonać. Podstawą jednego zarówno jak i drugiego mistrza było znakomite opanowanie rzemiosła; bez tego niemożliwa byłaby praca, jakiej dokonali. Albowiem warunkiem wielkiej sztuki jest przede wszystkim rzemiosło.

Malarstwo Giotta dziecinne i radosne było rewelacją swego czasu, narodzinami nowego spojrzenia na świat, powstania nowej konwencji malarskiej — światem renesansu, który jak pożar, ogarnął naprzód całą Italię, a potem świat. Ten jasny i gorący ogień płonie do dziś, do dzisiaj freski nie straciły nic ze swej aktualności. Do dzisiaj ta jego zabawa-praca raduje człowieka. Nie do wiary, że wydarzyło się to tak dawno. Te opowiadania nie są ilustracjami w dzisiejszym tego słowa rozumieniu; to są opowiadania Wielkiej Sztuki; literatura wcale im nie szkodzi, przeciwnie — dopełnia to malarstwo.

* ★ *

Turyści zza oceanu słyszą o sławnej sztuce włoskiej. Przyjeżdżają gromadnie. Żują gumę, poruszając kwadratowymi szczękami jak króliki, na brzuchach dyndają im aparaty fotograficzne, kieszenie wypychają im dolary.

Poruszając miarowo żuchwami robią slajdy, wszędzie, gdzie się da. Gdy oglądaliśmy z Marianną prymitywy w salach muzeum katedralnego w Sienie, pilnujący, widząc nasze zainteresowanie, podbiegł do nas i otworzył przed nami skrzydła ołtarza. Twarze świętych były podrapane szpilkami, ołówkiem, czy innymi jakimiś ostrymi narzędziami; śliną wymazane i powycierane fragmenty malowideł, scyzorykiem powydłubywany biały grunt. Pilnujący, teatralnym, dramatycznym ruchem załamał ręce nad głową i zaczął nimi z irytacji trząść koło uszu, zupełnie jakby oganiał się przed natrętnymi owadami.

Gdyby, to był Włoch ze starych powieści, krzyknąłby: „Sapristi!" Gdyby był przedwojenno-powojennym, klątłby: „Porca Madonna!"

A że był współczesnym, więc wyrzucał z wściekłością potoki słów, które trudno było od razu zrozumieć, ale z niejakim trudem można było odcyfrować. Sens był mniej więcej taki:

Wszędzie się pchają, pełno ich na każdym kroku. Drapią malowidła, niszczą obrazy. Zdzierają farbę do gruntu, aby sprawdzić, czy aby to wszystko naprawdę jest malowane. Czy to czasem nie złudzenie optyczne, wideoplastyka, czy wizjofonia kasetowa.

Są ciekawi szybko się nudzą, nie rozumieją nic. Pytają: czy można to kupić i za ile? Owszem płacą kary, ale nie ma ceny za te zniszczenia.

Wściekły Włoch długo trząsł rękoma nad głową, nie mogąc się uspokoić.

Początek upowszechnienia kultury humanistycznej wśród przybyszów zza Atlantyku jest szpetny. Ale dobre chociaż i to, jak na tych, którzy wysyłają rakiety na Księżyc. Rzeczywistość lat siedemdziesiątych naszego stulecia zaskrzeczała szkaradnie.

WACŁAW KONDEK

Korespondencja własna z NRF

przy dobrej pogodzie, podczas gdy minister zamówił Starfightery jako lekkie bombowce, zdolne zarówno do przenoszenia bomb atomowych jak i do użycia i rozpoznania w różnych porach roku i przy różnej pogodzie, co wymagało opracowania zupełnie nowej wersji tego samolotu.

Wkrótce pierwsze zamówienie na 66 samolotów, mimo protestu ekspertów i kierownictwa samej Luftwaffe, zostało zwiększone do liczby... 700 sztuk. Ponadto NRF zobowiązała się pokryć koszty badań nowej wersji samolotów.

Już tylko choćby z tego wynika, że w grę wchodził miliardowy interes. Reakcja opinii publicznej wywołała interwencję Związkowego Trybunału Kontroli. Jednocześnie opozycja zaatakowała kontrakt w parlamencie. Strauss oświadczył, że do podjęcia szybkiej decyzji zmusiły go przesłanki polityczne. Szybko wyjaśniono, że kryło się za nimi marzenie Straussa o wyposażeniu Bundeswehry w broń atomową. Kalkulacja taktyczna była w tym wypadku dość prosta. Wielkie miliardowe zamówienie w USA miało zmobilizować lotnicze „lobby" do poparcia żądań NRF w tym zakresie. Ponadto Bundeswehra jako posiadająca w przyszłości największą ilość samolotów, zdolnych do przenoszenia ładunków atomowych, wchodziła tylnymi drzwiami do Klubu Atomowego NATO, jako najsprawniejszy „obrońca" Zachodniej Europy.

No cóż, cel zbożny i błędy Straussa byłyby mu wybaczone, gdyby nie fakt, że byznes jest byznes, ale byznes z Lockheedem był wyjątkowo zły i naraził skarb państwa na straty, a także wywołał efekt odwrotny — obniżył siłę uderzeniową Bundeswehry.

Związkowy Trybunał Kontroli, który sprawę dokładnie przebadał, podał do wiadomości opinii publicznej wyniki swoich dochodzeń, które dają się sprowadzić do kilku punktów:

— Sukcesywnie ulepszane samoloty i także sukcesywnie dostarczane do NRF spowodowały absolutną dezorganizację w ich obsłudze oraz zaopatrywaniu ich w części zamienne, które się starzały szybciej niż maszyny. Spowodowało to poważne zakłócenia stałej gotowości zachodnioniemieckiej siły uderzeniowej, jak również straty materialne.

— Przeróbka amerykańskiej wersji Starfigthera na wersję NRF okazała się nieudana i dostarczane sukcesywnie samoloty wymagały dalszych ulepszeń, co podrożyło koszty badań i spowodowało dodatkowe wydatki z federalnego budżetu.

— Wyposażenie w specjalne oprzyrządowanie do przenoszenia ładunków atomowych okazało się niepełnosprawne, a ponadto zupełnie nieprzydatne w wypadku lotów ćwiczebnych z ładunkami tradycyjnymi, co spowodowało dodatkowe kłopoty organizacyjne i wydatki finansowe.

— Umowa zawarta z Lockheedem nie chroniła interesów strony NRF i miała błędy, popełnione przy umowie z „Hispano Suizą".

Na wyniki praktyczne tego całego byznesu nie trzeba było długo czekać. Starfigthery F-104D okazały się latającymi trumnami. Do sierpnia 1972 roku z powodów technicznych rozbiło się 155 samolotów, a 72 lotników straciło życie. Mimo zabiegów firmy Lockheed oraz kierownictwa Bundeswehry samoloty spadają do dziś.

W tej sytuacji pojawiły się głosy, że za miliardowym zakupem kryją się milionowe łapówki i inne „drobne" podarunki. Na ślad wpadła prasa, która starając się wyjaśnić przyczyny fatalnego byznesu, odkryła, iż przedstawicielem Lockheedu w NRF, oddelegowanym do zawarcia kontraktu, jest były oficer wywiadu F. Hauser, stary przyjaciel Straussa z okresu pierwszych lat po wojnie.

Początkowo minister zaprzeczał tej znajomości, ale później, przyparty do „muru", przypomniał sobie swego przyjaciela, któremu, jak się okazało, sam załatwił tę posadę, dzięki pomocy przewodniczącego Rady Nadzorczej Lockheeda. Niestety, wysiłki, by całą sprawę wyjaśnić do końca, spełzły na niczym. Ewentualny świadek, por. F. Hauser, milczał jak zaklęty, a poza tym wkrótce potem, oskarżony o fałszerstwo dokumentów, znalazł się w więzieniu. Miliardowy „Geschaeft" ministra Straussa, który przez długi czas interesował opinię publiczną, niestety, nie znalazł swojego finału.

WSPÓLNY MIANOWNIK

Afery trzymają się Straussa uparcie. Po Starfigtherach przychodzą inne, znane opinii publicznej pod następującymi krypotonimami: „Wujek Alojzy", „Przypadek dr P. Deega", „Afera Fibag". Wspólnym mianownikiem ujawnionych w przeważającej części przez prasę afer są interesy przy dostawach broni i sprzętu wojskowego dla Bundeswehry. „Spiegel", który szczególnie upodobał sobie ministra, uważnie śledzi wszystko, co tylko Strauss podejmuje w ramach swojej „gospodarczej" działalności, publikując systematycznie „potknięcia" ministra w tej dziedzinie.

* ✱ *

W demokracjach burżuazyjnych politycy przychodzą i odchodzą. Jedni ze względów oczywistych, inni ze względów przymusowych. Podanie się do dymisji z powodu utraty publicznego zaufania na ogół kończy jego polityczny życiorys. F. J. Strauss jest jednak na firmamencie politycznym NRF postacią szczególną. Liczne afery i osobliwości jego krewkiego charakteru, które przejawiły się wielokrotnie w działalności publicznej, wystarczyłyby do dymisji kilku rządów. F. J. Strauss jest jednak niezniszczalny. Jako „człowiek konserwatywnego centrum" ma mocne poparcie elity i dlatego mógł przetrwać wszystkie dotychczasowe burze.

WITOLD GÓRALSKI

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

DWA MUZEA

WILLA LWA TOŁSTOJA

Jeżeli w takim domu są wewnętrzne schody prowadzące na piętro, można z góry założyć, że będą się trzęsły pod stopami. Nie tylko ze starości. Wykonują pracę, do której nie były powołane. Cieśla je wyciosał z myślą o wygodach rodziny, co prawda znacznie liczniejszej niż dzisiejsza, o służbie i wąskim tylko gronie najbliższych osób. Cieśla nie mógł przewidzieć, że po tych schodach wspinać się będą dzień w dzień setki osób. Zawsze w takim domu, w Polsce, w Rosji czy gdziekolwiek na ziemi, miejscem centralnym jest biurko z nagotowanym do pisania, lecz bezczynnym piórem i z niedokończonym rękopisem. Uczucia, jakie mnie na ten widok nawiedzają, można określić jako mieszane, nawet skłócone.

Przy ulicy, której nazwę można wyczytać w podręcznikach literatury, choć już jej od dawna nie ma na narożnych tabliczkach, stoi dom nienowy, podobny do kilku czy kilkunastu innych, tyle, że bardziej zadbany. Niejeden z takich piętrowych drewniaków, „ani starych, ani nowych", widywałem w dojmująco odległych latach dzieciństwa, kiedy na niebie jeszcze dość rzadko pojawiały się terkotliwe aeroplany i nikt nie przypuszczał, że domy takie właśnie spłoną pierwsze, wszystkie razem i jednego dnia. Gospodarze, zwani „państwem", po wyrażeniu ze znaczną ekspresją radości z powodu tak znakomitej inicjatywy, jak nasza wizyta, a także zachwytu nad niewiarygodnie szybkościowym, ich zdaniem, tempem mego rośnięcia — wprowadzali nas do saloniku, który, zdarzało się, bywał jednocześnie gabinetem pana domu i stało w nim biurko. W przeciwległej jadalni zaczynały wkrótce szczękać energicznie stawiane nakrycia, a my, nic a nic tych odgłosów „nie słysząc", prowadziliśmy pełną uśmiechów plenarną rozmowę. Na „plenarce" nudziłem się jak mops. Zdarzało się, że wstawałem cichaczem z fotela i wędrowałem w stronę biurka, żeby zapuścić nań żurawia. W takich razach byłem łagodnie, lecz stanowczo odwoływany przez rodziców. W drodze zaś powrotnej dowiadywałem się, że biurko nazywało się ongi „sekretarzykiem", od słowa „sekret", i że jest rzeczą nieprzyzwoitą zaglądać, co na czyim biurku leży, a tym samym nie uszanować cudzego „sekretu". Podobnie jak nieprzystojną jest rzeczą zaglądać do jadalni, zanim pani domu sama nie otworzy drzwi i nie powie: „Prosimy do stołu".

Lew Nikołajewicz Tołstoj kupił drewnianą willę przy ulicy Dołgo-Chomowniczewskiej w 1882 roku i zjeżdżał do niej, przeważnie na miesiące zimowe, wraz z rodziną z Jasnej Polany, aż do czasu całkowitego rozkładu życia domowego i bardzo już zaawansowanej fazy buntu wobec rzeczywistości otaczającej, w największym i w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Przy opracowywaniu ekspozycji w rezydencji wiejskiej Tołstoja wysiłek muzeologów skierowany został na pokazanie działalności nie tylko pisarskiej Proroka z Jasnej Polany oraz skrajności tego, że tak to nazwę, stylu życia w okresie późnym. Tutaj, w Moskwie, krążymy po typowym raczej, obszernym i dobrze urządzonym mieszkaniu majętnej, kulturalnej rodziny o dość nawet uregulowanym trybie życia, z marginesem na pewne nietypowości w rodzaju „łacha", który pan domu zakładał celebrując swój „prostonarodny" obowiązek rąbania drzewa. Oto salon z miękkimi meblami, może tylko trochę większy i bogatszy od zapamiętanych z dzieciństwa. Oto gabinet z galeryjkowym biurkiem. Na nim wyszłe z użycia (jeszcze za mojej pamięci) ektrytuary oraz „sekrety" pana domu — pożółkłe kartki papieru, wpół zapełnione jego wyblakłym pismem. Oto jadalnia: stół nakryty białym obrusem, rozstawione talerze, sztućce na podstawkach, waza do zupy z wetkniętą łyżką. Tylko siadać. Krążę po tej jadalni wraz ze sporą gromadką ludzi, choć Anna Andrejewna nie otworzyła przed nikim tu drzwi i nie powiedziała: „Prosimy do stołu". Trzeszczą schody wiodące do części domu ściśle rodzinnej, do której nie wprowadza się nikogo z zewnątrz, chyba najbliższych spośród bliskich. Wchodzę do sypialni, w wąskim korytarzyku dotykam wzrokiem ubrań na wieszakach w garderobie pana domu: czarne, reprezentacyjne, „prorockie" i domowe. Jest i bonżurka. Podobna do tej, w jakiej lubił chodzić aż do obiadu mój dawno zmarły wujek Wacek. Nawet plamy na przodzie podobne i w tych samych miejscach, gdyż wujkowi także zdarzało się czasem jeść nie dość uważnie. Chodzę po cudzym pustym mieszkaniu jak taki taksujący komornik, czy licytant, dla którego nie ma nic świętego, i tym śmielej dokonuję swych bezceremonialnych oględzin, że czuję się w tłumie. Chodzę po tym mieszkaniu, bo tak się złożyło, że pan domu był bardzo wielkim pisarzem i „sekrety" na jego biurku stały się zarazem własnością ludzkości, chodzę więc z uczuciem dławienia w gardle, które jest pochodną uczucia wyższego rzędu, zwanego wzruszeniem, zaś kulminacji tego dławienia — wzruszenia doznaję przy dojściu do biurka, zwanego ongiś sekretarzykiem, i zbliżam się na najmniejszą z możliwych fizycznych odległości do spełnionej tu dawniej Tajemnicy Tworzenia. Równocześnie chodzę po tym mieszkania, bo tak się złożyło, że wielki pisarz — pan domu — i jego rodzina dawno temu, choć wcale nie aż tak dawno, umarli, a więc przestały obowiązywać normy obyczajowe, regulujące wzajemne stosunki: przybysz — gospodarz i gwarantujące suwerenność domu. Mimo całego pietyzmu dla odeszłego z fizycznego życia gospodarza i poprawności mojego i tych wszystkich, co przyszli poza mną, zachowania się, dokonał się tu wraz z moim i ich wejściem nie zawiniony przez nikogo gwałt. Dotykam w tej chwili odczuciem — uzmysłowienie sobie przychodzi później, może dopiero teraz, w toku pisania — jeden z nader istotnych aspektów okrucieństwa śmierci fizycznej, jakim jest upokarzająca likwidacja suwerenności czyjegoś „ja" i wszelkich rzeczy, które jego są.

Zwiedzanie domu przy ulicy Dołgo-Chomowniczewskiej, obecnie Lwa Tołstoja, jest przeżyciem bardzo silnym. Przeżywam dwa jednocześnie sprzeczne i skłócone uczucia: wzruszenia i skrępowania. Pierwsze jest, być może, silniejsze.

RÓŻE DLA MAJAKOWSKIEGO

Skrępowania tego nie czuję w domu — muzeum Majakowskiego. Czy dlatego, że większość pokojów i klatka schodowa oddane są na ekspozycję i straciły swój mieszkalny charakter? Typowa ekspozycja, bardzo zresztą staranna, o twórczości i znaczeniu Wielkiego Odeszłego: porządek chronologiczny, pamiątki, grafika futurystyczna i późniejsza z czasów ROSTA, pożółkłe pierwodruki, mniej pożółkłe bądź całkiem świeże wydania pośmiertne w wielu językach, afisze wystawianych dramatów-buffo, plansze. Może dlatego, że wszystko jest tak starannie czarno na białym podane, wyjaśnione, a więc nie ma właściwie miejsca i czasu na błądzenie myślami samopas. Może też dlatego, że to nie jest jeszcze jego mieszkanie właściwe, tylko dom, w którym się ono znajdowało, dziś w całości oddany na muzeum. Ale oto weszliśmy już do mieszkania. Pokój stołowy, nieduży gabinet, stół, tapczan, coś tam na ścianach, regał na książki o półkach tak wysokich jak antresola. Gospodarz był, jak wiadomo, olbrzymem. W urządzeniu wnętrza nic z futurystycznej ekstrawagancji, na etapie „bicia po mordzie zastanych gustów", a potem lefowca, zwalczającego mieszczański „byt". Raczej prostota właściwa pierwszym latom władzy radzieckiej; elementy wnętrza funkcjonalnego, tak zwanego naówczas „nie absorbującego", przemieszczane z niewyszukanymi meblami sprzed Wielkiej Cezury. „Lefowcy" nie mogli ich lubić: służyły do „bytu". To mieszkanie nie było, jak się określa z angielska, Jego „twierdzą", lecz kątem do pracy i marginesem dnia. Twierdza, i to zagrożona od wewnątrz i od zewnątrz, znajdowała się poza progiem. Posiadała rozmiary jednej szóstej świata. Był jednym z obrońców i doboszem poddającym takt do szturmu. I był retorem, bo twierdza była także agorą, a on twórcą donośnych filipik — pędzlem i słowem wiązanym, a i filipik dosłownych, bo namiętnie angażował słowo do nieustannych wystąpień publicznych...

Nie, nie czuję skrępowania w mieszkaniu, z którego nie emanuje owo coś niezbyt uchwytnego, bo niezależnego od takiego czy innego stylu mebli, coś, co niekoniecznie musi być mieszczańską „przytulnością", a co najlakoniczniej można by nazwać zadomowieniem. Naturalnie, jestem wzruszony. Ale jest to wzruszenie wyrozumowane, wymagające podpory w przesłance, iż oto znajduję się w mieszkaniu poety, którego rola w literaturze i rewolucji była doniosła szczególnie. Tragedia przemijania i — konkretny dramat niespodziewanej śmierci — jedyne, co nie zostało expressis verbis skomentowane na planszach wystawy i skomentowane być nie mogło, ponieważ nie mieści się w podatnych schematach, nie daje tu o sobie zbyt silnie znać, jakkolwiek ekspozycja gabinetu (biurko z rozłożonymi na nim pamiątkami po ostatnich godzinach przed 14 kwietnia 1930, maska pośmiertna) kieruje uwagę zwiedzających na to Odejście — nie mniej, a może bardziej tragiczne niż ucieczka niedołężnego starca z Jasnej Polany, bo to przecież nie przesmutny epilog do zamkniętej już właściwie twórczości i życia, lecz odejście nagłe, w pełni sił twórczych. Śmierć, by nadal kreować samą siebie po swym odejściu, musi ukazywać się jak aktor — na wyrazistym tle. W pokojach hotelowych jest mało widoczna. Czy z takim niedostatecznym przeżyciem i truistycznym twierdzeniem odejdę z domu — muzeum Majakowskiego.

Miła rozmowa w pracowni na zapleczu z etatowymi „majakowkologami". Podziękowanie za uprzednio otrzymane eksponaty, świadczące o działaniu „siły fatalnej" jego poezji nad Wisłą: m. in. afisze i fotogramy z Dejmkowskiego wystawienia „Łaźni" w łódzkim Teatrze Nowym. Podarunek rewanżowy w postaci duplikatów afiszów moskiewskich. Wychodzimy przed dom — i tu oblega nas niespodzianie zapach róż. Kiedy wchodziliśmy, nie zwróciliśmy na to uwagi. Znaleźliśmy się w niedużym ogrodzie. Tu jest podobno także wszystko dokładnie tak, jak było.

— Te róże są córkami tamtych, nie mniej dorodnych, troskliwie pielęgnowanych przez poetę — mówi panna kustosz, „sierozna" w tych rogowych, grubych okularach.

Władymir pielęgnujący róże! W wyobraźni zgięła się w tej chwili nad nami w pół, co najmniej o czterdzieści pięć stopni, wysoka postać o żywych, dynamicznych ruchach, uosobienie programowej pogardy dla zastałych formacji, obyczajów i estetyki. Majakowski i pochylenie się nad majestatycznym pięknem królowej kwiatów — owym zwyczajowym akcesorium klas sytych oraz przeżartych sybarytyzmem pięknoduchów, zwanych wtedy przez futurystów „farmaceutami". Powtórzony gest i przeżycie Afanazego Afanasjewicza Feta, estety — parnasisty, kochającego wszystko co ziemiańskie i widzącego w tej klasie wcielenie marzeń o Idealnym na ziemi. Przeżycie, które z jaką emfazą wyraził w wierszu: „Mego pragnął obłędu, kto róży tej cud z błysków, karbów karminu i rosy utoczył!". A również powtórzony gest i przeżycie — nie wyrażone tym razem słowem — mojej znajomej, „strasznej mieszczanki" z ulicy Blacharskiej na Bałutach. Zaskoczył mnie różany ogród autora „Lewą marsz". Nie ostatni to dowód na złożoność psychiki ludzkiej i jej nieprzystawalności do schematów.

W tym mimowolnym pochyleniu nad „burżujskim" kwiatem poeta, który przez całe życie „dławił gardło liryki" — swoje i cudze — ukazał mi się nagle w tej swojej prostej niekonsekwencji jako ktoś wzruszająco — ba, powiedziałbym, rozczulająco — bliski.

„RUBINOWA HORTENSJA"

Po raz dziewiąty

REGULAMIN KONKURSU

Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Socjalistycznej w Łodzi i Huta Szkła Gospodarczego „Hortensja" w Piotrkowie Tryb. przy współudziale Wydziałów Kultury Prezydiów WRN w Łodzi i MRN w Piotrkowie Tryb., Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich, „Gazety Ziemi Piotrkowskiej". Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych w Łodzi oraz Zarządu Powiatowego i Miejskiego ZMS w Piotrkowie Tryb. ogłaszają: IX Konkurs Literacki o „Rubinową Hortensję" (w działach poezji i prozy).

Zakres Konkursu obejmuje problematykę życia i pracy współczesnej młodzieży — nadsyłane utwory powinny przedstawiać tę tematykę na tle aktualnych problemów budownictwa socjalistycznego, ze szczególnym uwzględnieniem środowiska zakładu pracy, ukazywać konflikty moralne i społeczno-obyczajowe, podejmować problematykę kształtowania wzorców osobowych młodego pokolenia, propagować pozytywne przykłady aktywności społeczno-zawodowej, ideowości i patriotyzmu.

W związku z przypadającymi w bieżącym roku rocznicami 30-lecia ZWM i 25-lecia ZMP organizatorzy proponują również przedstawienie omówionej wyżej problematyki na tle rozwoju społeczno-gospodarczego Polski Ludowej oraz nawiązania do tradycji polskiego ruchu młodzieżowego. Warunkiem udziału w Konkursie jest nadesłanie nie opublikowanych dotąd prac na adres: Zarząd Wojewódzki ZMS, Łódź, al. Kościuszki 111/113, z adnotacją na kopercie: „Rubinowa Hortensja" w nieprzekraczalnym terminie do dnia 28. II. 73 r. Każdy uczestnik Konkursu w dziale poezji winien nadesłać po 3 utwory w 6 egzemplarzach maszynopisu, w dziale prozy utwory nie przekraczające 15 stron maszynopisu w 3 egzemplarzach.

Osoby, które nie publikowały dotąd w ogóle swoich utworów i nie brały udziału w żadnym konkursie literackim, powinny dopisać zarówno w tekście jak i na kopercie: „debiut". Do prac oznaczonych godłem należy dołączyć zamkniętą kopertę opatrzoną tym samym godłem oraz zawierającą godło, imię i nazwisko autora oraz jego adres.

Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone na uroczystym podsumowaniu, które odbędzie się w kwietniu 1973 roku w Piotrkowie Tryb. Sąd konkursowy, w skład którego wejdą przedstawiciele organizatorów Konkursu, po rozpatrzeniu prac przyzna nagrody w każdym z działów:

W DZIALE POEZJI:

I nagroda — Puchar „Rubinowa Hortensja" ufundowany przez HSG „Hortensja" w Piotrkowie Tryb. i Zarząd Zakładowy ZMS oraz 2.000 zł.
II nagroda — 1.500 zł
III nagroda — 1000 zł
oraz dwa wyróżnienia po 500 zł.

W DZIALE PROZY:

I nagroda — Puchar „Rubinowa Hortensja" ufundowany przez HSG „Hortensja" w Piotrkowie Tryb. i Zarząd Zakładowy ZMS oraz 2.000 zł.
II nagroda — 1.500 zł.
III nagroda — 1.000 zł.
oraz dwa wyróżnienia po 500 zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród oraz możliwość nie wykorzystania pełnej ich sumy.

W obu działach przewidziane są także wyróżnienia za najlepsze debiuty.

INFORMACJI NA TEMAT KONKURSU UDZIELA WYDZIAŁ PROPAGANDY ZARZĄDU WOJEWÓDZKIEGO ZMS W ŁODZI, AL. KOŚCIUSZKI 111/113 TEL. 657-32.

10840-A
WKSP im. J. P. w Łodzi

ZWYKŁA CZERWONA WIŚNIA

PLASTYKA

Układ sił polityczno-ekonomicznych na świecie po II wojnie światowej, także rozwój komunikacji jak też środków masowego przekazu sprawiły, iż Japonia z kraju izolowanego stała się ostatecznie nie tylko pełnoprawnym, ale i niebywale aktywnym obywatelem naszego globu. Przejawy tej aktywności obserwować możemy nie tylko w dziedzinie gospodarczej czy politycznej ale również i kulturalnej. Literatura, sztuki piękne, film włączyły się w światowy nurt współczesnej twórczości nie tylko jako wytwory egzotycznej kultury lecz przede wszystkim jako świadectwo epoki. Japonia, stając się z kraju hermetycznego krajem otwartym wchłaniała w siebie osiągnięcia kultury Zachodu, te zaś w zetknięciu ze starą, bogatą i wciąż żywą, pieczołowicie kultywowaną tradycją ulegają przetworzeniu, stwarzając nowe wartości, które z kolei stają się składowymi kultury kosmopolitycznej. W ten sposób zostaje zamknięty krwioobieg inspiracji.

Nam, mieszkańcom Europy, słowa „sztuka japońska" kojarzyły się nieodparcie z japońskim drzeworytem ta to bowiem dziedzina twórczości plastycznej była najbardziej znana i wiązała się niejako organicznie z początkami naszej sztuki współczesnej. Wszak u źródeł francuskiego impresjonizmu leżał m. in. rodzajowy japoński drzeworyt „ukiyo", powstały i doprowadzony do perfekcji w okresie Tokugawa (od 1603 do 1867 roku), a mający swe źródła w uprawianej przez wyznawców buddyjskiej sekty Zen sztuce malowania pędzelkiem i tuszem, zwanej „sumie", która to umiejętność zapożyczona została od Chińczków w czasach trwania dynastii Ming. Dziś mówiąc o plastyce japońskiej również myśli się przede wszystkim o grafice, ale nie zawężonej do techniki drzeworytu, lecz o grafice bogatej wieloma technikami do niedawna jeszcze nie spotykanymi w japońskim warsztacie graficznym, myśli się także o plakacie i innych rodzajach druków użytkowych.

Grafika japońska na tle współczesnej grafiki Zachodu jest w takim samym stopniu zjawiskiem typowym, co i wyjątkowym. Typowym z tego względu, że skupia w sobie wszystkie cechy charakterystyczne dla współczesnych tendencji i nastrojów tej dyscypliny sztuki, że ogniskuje w sobie te same kierunki, mody, niepokoje, reakcje, co grafika Zachodu, że jest również — jak tamta — poligonem eksperymentów technicznych, sięgających aż do warsztatu fotograficznego, w rejony drukarstwa, aż po granice produkcji masowej, zmechanizowanej. Nie oznacza to wcale, że artyści japońscy zajęli się bez reszty naśladownictwem aktualności zachodnich. Poszukiwania i odkrycia dokonują się równolegle w Tokio, Nowym Jorku, Londynie... Po prostu japońscy graficy są świadkami t y c h s a m y c h zdarzeń i procesów, stają wobec t y c h s a m y c h problemów, co wszyscy inni twórcy na całym świecie. A ponieważ pragną uczestniczyć w ogólnoludzkim dialogu o współczesności, muszą sięgać do języka uniwersalnego i aktualnego.

Odrębność współczesnej grafiki japońskiej zasadza się przede wszystkim na jej silnych, organicznych związkach z tradycją zarówno w sferze obrazowania jak i w dziedzinie samego warsztatu. Stary drzeworyt japoński ukiyo-e cechowała niebywała prezycja linii, subtelność zestawień kolorystycznych, synteza doprowadzona do granic swoistej ascezy przy zachowaniu swobody kompozycji i koniecznych do pełnego przedstawienia zamierzonych treści i podtekstów filozoficznych szczegółów. Drzeworyt ten w swej powściągliwości pełen był jednak wyrafinowanej ekspresji. Bazując na naturze, łączył w sobie harmonijnie walory dekoracyjne z treściami literackimi. Był to drzeworyt realistyczny w odmiennym jednak od europejskiego znaczeniu tego słowa. Ale w tradycji japońskiej grafiki warsztatowej był tylko drzeworyt, był tylko drewniany klocek po mistrzowsku spreparowany dłutem. Innych technik grafika japońska nie znała. Dopiero wiek XX, a zwłaszcza okres po II wojnie przyniósł do warsztatów japońskich artystów inne, tradycyjne dla naszej kultury europejskiej techniki szlachetne — litografię, metale trawione a w ostatnich latach również najnowsze techniki powiązane z fotografią i drukarstwem. Graficy japońscy okazali się w tych nowych dla siebie technikach mistrzami precyzji, mistrzami, łamiącymi świadomie i z pozorną łatwością — tak cudowną i pociągającą w sztuce — opór tworzywa.

Zestaw współczesnej grafiki japońskiej, jaki oglądamy w Muzeum Sztuki, daje pełne wyobrażenie o tym, czym jest ta gałąź twórczości w tym kraju. Zresztą spotkanie nie jest pierwsze, bo chociażby na krakowskich biennale grafiki oglądaliśmy Japończyków, a ich plakaty widzieliśmy niejednokrotnie w Warszawie. Fascynowali zawsze — fascynują i teraz. Wybór przygotowany przez Muzeum Narodowe Sztuki Nowoczesnej w Tokio uwzględnia prace artystów, działających jeszcze przed II wojną, a więc pokolenie starsze, tych, którzy debiutowali już po wojnie i najmłodszych, których prace pojawiły się na wystawach po roku 1960. Najstarsi artyści posługują się przede wszystkim drzeworytem, tworząc kompozycje o dużych walorach dekoracyjnych, często z elementami zaczerpniętymi z rodzimego folkloru, często rozległe krajobrazy lub pejzaże miejskie. Artyści powojenni, wśród których jest wielu malarzy, posługują się już szerokim wachlarzem środków wyrazu — litografią, suchą igłą, akwafortą, mezzotintą.

Pracują w najróżniejszych konwencjach, od realizmu do abstrakcji, używając swobodnie i chętnie koloru. Wśród nich znajdują się artyści tworzący sztukę protestu, jak np. Ueno, opętany wizją zamienianej w popiół Nagasaki czy surrealista Hamada, najpierw boleśnie przeżywający swoje doświadczenia wojenne a potem obrazujący stany zagrożenia, strachu, choroby. Odrębne miejsce zajmuje w tej grupie Hamaguchi tworzący techniką mezzotinty, często barwnej, pełnej prostoty, liryzmu i spokoju martwe natury. Jego piękna, barwna mezzotinta zatytułowana „Wiśnia" jest czymś wyjątkowym we współczesnej grafice. Najmłodsi najchętniej operują najnowszymi środkami warsztatowymi. Stosują reliefy monochromatyczne, tłoczenia, perforacje, sięgają po klisze fotograficzne, po sposoby drukarskie. Robią tzw. grafikę przemysłową, odchodząc daleko od przyjętych konwencji, docierają aż do granic trójwymiarowości. Wszyscy zaś pragną dać świadectwo czasów, w których żyją.

I tak grafika japońska idzie dwoma równoległymi nurtami. Jeden to dążenie do wyrażenia własnej osobowości, własnego, indywidualnego widzenia świata i jego spraw. Drugi zaś nurt pragnie zarejestrować obraz rzeczywistości bezkompromisowo, w sposób obiektywny, nieomal anonimowy. Ci ostatni rezygnują ze śladu własnej ręki na płycie, rezygnują nawet często z sygnowania swoimi nazwiskami własnych prac. Wielu z nich traktuje odbitkę graficzną jak ulotkę, plakat czy gazetę: jako rzecz do jednorazowego użycia i stąd chętnie posługują się metodami masowego powielania.

Grafika japońska jest na wskroś współczesna, a jednak nie zawsze udaje się nam odczytać ją do końca. Nie wszystkie symbole są dla nas czytelne, nie wszystkie gesty zrozumiałe. Dzieje się tak dlatego, że jest ona przy całym swoim kosmopolityzmie korzeniami głęboko wrośnięta w tradycję kulturalną tego kraju, że żyje w klimacie wielowiekowej sztuki, bogatej, różnorodnej, ale przecież bardzo odległej od naszej. I znów paradoks — odległej, a przecież wzruszającej i mimo barier — bliskiej. Taka bowiem jest potęga sztuki prawdziwej.

ANDRZEJ GRUN

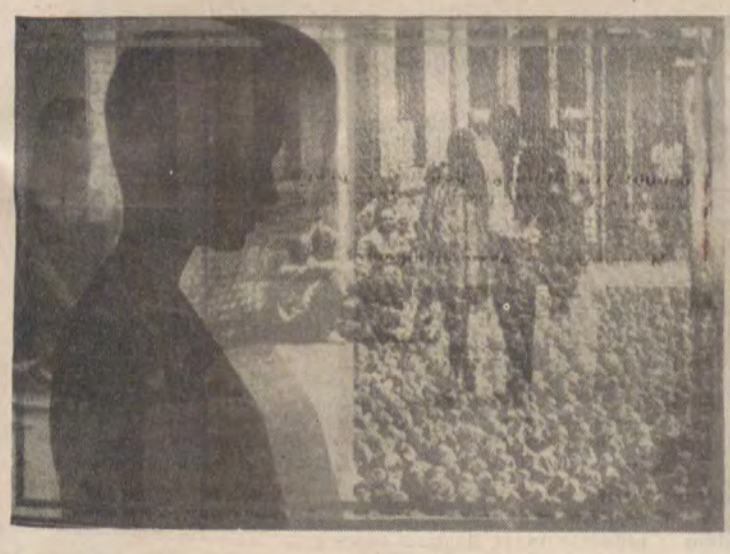

KOSUKE KIMURA — „Obecna sytuacja", serigrafia, litografia

TETSUYE NODA — „Dziennik", serigrafia, drzeworyt

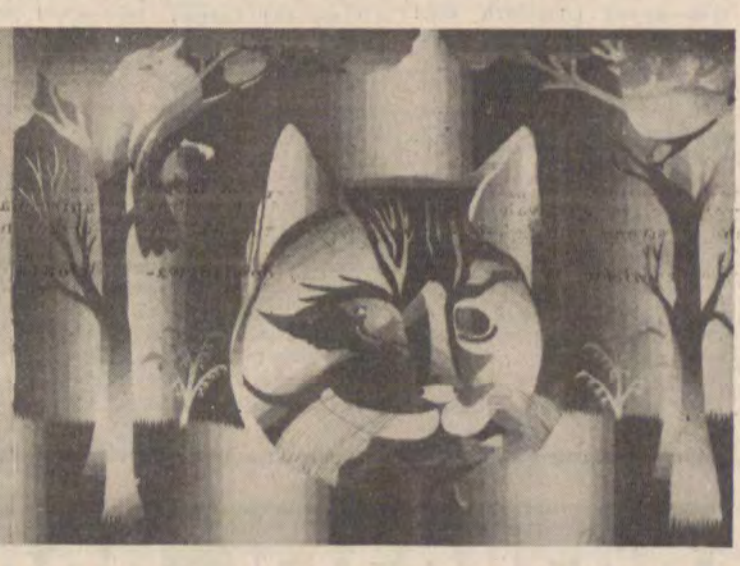

ARTYSTA NIEZNANY — ok. 1840 — „Kot", serigrafia

§ WALKA O DZIECKO

W tej rubryce szydzi się przede wszystkim z kryminalistów, łobuzów i w ogóle wszelkich mętów społecznych, których uwiera kodeks karny. Wyroki mnie mało interesują. Wyrokami niech interesują się sami sprawcy. Jednakże co począć kiedy do sądu zwraca się dwoje młodych ludzi w nadziei, że sędzia sprawiedliwiej rozstrzygnie dylemat komu z nich po rozwodzie przyznać dziecko. Salomonowe orzeczenia niewiele tu są warte. Rodzice kierują się uczuciem, sąd rozumem. Nie może więc być mowy o wspólnej płaszczyźnie. Każda ingerencja w sprawy rodzinne z góry skazana jest na niepowodzenie. Ale przecież ktoś to musi czynić. Ażeby sprawę nieco ułatwić społeczeństwo ustanowiło dogmat, że w konflikcie między rodzicami sąd winien stanąć zawsze po stronie interesów dziecka. W praktyce to z rodziców realizuje interes dziecka, u którego ono mieszka.

Niedawno odwiedziła mnie niewiasta, która otwarcie przyznała, że porwała dziecko ojcu i teraz ukrywa się. Przyszła prosić o pomoc. — Milicja mnie nawet poszukuje — oświadczyła. Lecz ja teraz z dzieckiem nie potrafię się rozstać. Jest to ponad moje siły. Kocham je nad życie, jest ono moim jedynym szczęściem i celem mojego istnienia. Dziecko też mnie bardzo kocha i wystarczyło parę dni, by całą swą miłość skierowało na mnie.

Miłość jest argumentem obezwładniającym. Jeśli podobnie twierdził ojciec, nie zazdroszczę sędziemu, który tę sprawę rozsądzał.

Młodzi pobrali się trzy lata temu. Po roku przyszło na świat dziecko. Matka w trakcie ciąży uległa wypadkowi w pracy. Po urodzeniu syna pozostawała przez jakiś czas w szpitalu, opiekę nad nim sprawowała w tym okresie teściowa. Po wyjściu ze szpitala matka zabrała dziecko na wieś do swoich rodziców. Tam chłopiec wpadł pod nadjeżdżający wóz konny. Kobieta rzuciła się na ratunek osłaniając syna swym ciałem. Znów skazana została na dłuższy pobyt w szpitalu, ratując bowiem życie dziecka sama straciła zdrowie. A w międzyczasie i męża. Do chwili sfinalizowania rozwodu sąd postanowił powierzyć dziecko opiece ojca. Po sprawie rozwodowej sąd miejscem zamieszkania dziecka ustanowił miejsce zamieszkania ojca, co w praktyce oznacza odsunięcie matki od sprawowania opieki. Może ona tylko co drugi dzień kontaktować się z dzieckiem w godzinach od siedemnastej do dwudziestej. Matka jednak ani myśli podporządkować się woli sądu. Trzyma dziecko przy sobie, starannie je ukrywając pośród krewnych i znajomych. Przychodzi jej to z dużą łatwością albowiem pomaga jej w tym nie tylko własna rodzina lecz całe środowisko. Ci wszyscy, którzy znają jej sytuację akceptują jej postępowanie. Straciła zdrowie dla tego dziecka, pozostała samotna, schorowana, biedna. Zapewne u ojca warunki materialne dziecka będą o wiele lepsze niż u matki — inwalidki. Ale przecież wiadomo, że dziecka nie będzie wychowywał ojciec tylko teściowa. Jeśli więc w dalszym ciągu kierujemy się motywami racjonalnymi, to dla dobra dziecka lepiej jest kiedy je wychowuje matka niż babka. Tym bardziej, że matka nie pracuje, może mu poświęcić więcej czasu na wychowanie. Jest co prawda chora, lecz nie jest ułomna. Fizycznie i psychicznie jest zdolna do sprawowania opieki. Zresztą nawet, niektóre schizofreniczki są bardzo dobrymi matkami, a ona cierpi tylko na encefalopatię pourazową.

Nienaturalna jest taka sytuacja, w której kochająca matka bez żadnych wad i nałogów, o przyzwoitej reputacji pozbawiona zostaje naturalnego prawa opieki nad swym dzieckiem, dla którego poświęciła zdrowie i narażała życie. Sąd podejmując taką decyzję wziął na swe barki wielką odpowiedzialność za los ludzki. Towarzyszy tej sprawie ogromna tragedia kobiety — matki. Rzeczywiście nie postąpiła ona zbyt mądrze, kiedy nie czekając na orzeczenie sądu porwała dziecko i ukryła je w wiadomym sobie miejscu. Ale za to jej nie można karać, przynajmniej w ten sposób karać, że odbiera jej się faktyczną opiekę nad nim.

Daleki jestem od tego by poddawać w wątpliwość kompetencje sądu, w tym wypadku chodzi o Wydział III Cywilny Sądu Powiatowego dla m. Łodzi, lecz wydaje mi się, że w tego typu sprawach najlepsze przygotowanie, doświadczenie i możliwości ma Sąd dla Nieletnich. Dysponuje on odpowiednią kadrą psychologów, psychiatrów, pedagogów, socjologów i kuratorów. Mogą oni okazać się bardzo pomocni w sprawach, gdzie toczy się walka o dziecko. Rozumiem, że każde orzeczenie może tu być pomyłką, można je poddać w wątpliwość. W tych sprawach sytuacja sądu jest wyjątkowo ciężka. Sąd osądza to samo życie, odbiera naturalną władzę nad dzieckiem, powierza ją czasem obcym ludziom, odcina dziecko od matki lub od ojca, jednym słowem operuje na terenie podstawowej komórki społecznej, czyli rodziny. Jeśli więc nadal obstajemy przy tym, że jednak interes dziecka jest tutaj najważniejszy niech więc broni tego interesu odpowiednio przygotowany do tego Sąd dla Nieletnich. Któż lepiej to może czynić?

KAROL BADZIAK

FILM

DOJRZAŁOŚĆ?

Gdy przed trzema tygodniami próbowaliśmy pewnych ocen dorobku polskiej kinematografii w roku 1972, film Janusza Głowackiego i Janusza Morgensterna „TRZEBA ZABIĆ TĘ MIŁOŚĆ" nie miał jeszcze swojej premiery. Wśród filmów 1972 roku zwracaliśmy uwagę na wyjątkowo dużą grupę filmów poświęconych młodzieży, dziś nie ulega kwestii, że filmem najdojrzalszym i chyba jedynym ważnym jest właśnie „Trzeba zabić tę miłość".

Janusz Morgenstern, realizujący niestety filmy swe zbyt rzadko, do tematu — młodzi — przymierzał się jednak już wielokrotnie, wspomnijmy „Do widzenia, do jutra" i „Jowitę" oraz film o młodych z innych lat, czyli telewizyjnych „Kolumbów". Janusz Głowacki pozostaje w kręgu swych opowiadań przede wszystkim znów w świecie młodych, w znakomitych swych felietonach tropi zaś bezwzględnie wszelkie ślady głupoty wielkiej i małej. Efektem współpracy tych autorów stał się film, w którym do głosu doszły zarówno charakterystyczna dla Morgensterna kameralna i nastrojowa tonacja filmowej relacji, jak i ostra, prześwietlająca metoda obserwacji świata, typowa dla pisarstwa Głowackiego. Obrany przez autorów filmu punkt widzenia pozwolił na połączenie obu tych, z pozoru wykluczających się, sposobów prezentacji rzeczywistości. Sfera kameralności i nastrojów przypisana została młodej parze głównych bohaterów, to, co jest poza nią, jest głównie rejestracją obyczajów i układów, w które młodzi ci wejść muszą, które widzą już sami, lub które zobaczyć możemy my —w tej drugiej sferze dochodzi do głosu owo przenikliwe, bezkompromisowe spojrzenie, charakterystyczne dla dotychczasowej działalności Głowackiego. Ostatecznie zaś historia Magdy i Andrzeja okazała się opowieścią o niezwykle rzadkich u nas walorach prawdy obyczajowo-psychologicznej.

Młodzi w filmie „Trzeba zabić tę miłość" u progu swej dorosłości okazali się wyjątkowo dojrzali, ale nie w tym sensie, jak widzieliśmy to, w sferze biologii w filmie „Seksolatki", a w sferze ducha w „Szklanej kuli". Pewne sprawy Głowacki i Morgenstern uznali za oczywiste, skoncentrowali uwagę na problemie, ich zdaniem, najistotniejszym — na ile ta, smutna zresztą, dorosłość młodych wyrasta z faktu pewnej potocznej świadomości życia, na ile potrafi walczyć o prawo do swej indywidualności i wiarę w takie wejście w życie, by móc swą prywatność kształtować na wzór własny, nie poddając się stereotypom już nie tylko obyczaju, ale w ogóle ludzkiego losu. Historia Magdy i Andrzeja jest właśnie ilustracją tej konfrontacji sił i możliwości w zderzeniu ze światem zastanym.

Zwycięsko wychodzi z niej Magda, czy na długo — tego nie wiemy, smutno byłoby jednak pomyśleć, iż za kilka lat stanie się ona filmową Dzidzią. Naporu świata nie wytrzymał jej młody partner. Czy był słabszy? Na pewno, bo przecież nie był zły. Odczuwam pewien żal do scenarzysty, iż dał Andrzejowi zbyt mało szans, był on mu potrzebny głównie dla rysunku postaci Magdy. Sprawę tę dodatkowo wydobyła aktorska słabość tego bohatera, w przeciwieństwie do znakomitości aktorskiej kreacji debiutującej Jadwigi Jankowskiej. Niemniej pewna typowość Andrzeja służy również analizie, która stoi u podstaw scenariusza filmu. Opór i sprzeciw Magdy, będący zaprzeczeniem łatwości, z jaką Andrzej wchodzi w zastane reguły gry, pozwala w opisanym świecie szukać wartości wyższych, na które szansę ma przecież każda egzystująca w nim jednostka. Jedną z tych wartości jest miłość, o jej czystość walczy jeszcze Magda, wszystkie inne przedstawione jej warianty znaczą właściwie tyle, co seks, stabilizacja czy pieniądz i jeśli się jej szuka, to po to, by znaleźć te inne rzeczy, czyli nie szuka się jej samej. W opisie tych miłości zawarty jest sam opis świata, w większości wypadków łączą go autorzy filmu z tematem wcale niebagatelnym. Jest nim sprawa neomieszczaństwa, tropionego ze szczególną zaciekłością.

W wielu innych przypadkach, przy całej ironii, twórcy filmu zdobywają się na autentycznie szczery smutek, przecież ci różni śmieszni, żałośni i głupi ludzie, często są bardzo nieszczęśliwi. Nie przeciw nim, lecz przeciw ich zgodzie na życie, które prowadzą, kieruje film swą ironię. Nie oszczędza się tych i tego, co jest świadomym i samozadowalającym wyborem, co jest oczywistym dowodem pewnego rozparcia się neomieszczeństwa w rzeczywistości, w której żyje. W tym opisie znalazło się również wiele rozproszonych w scenkach i epizodach niezwykle cennych obserwacji tzw. potocznej rzeczywistości społecznej, obyczajowej, a także językowej. Znajdujemy w tym filmie zatem ułamki naszego, naprawdę autentycznego życia.

Czy obraz ten trzeba uogólnić? Boję się, że rama filmu i cały wątek drobnego kanciarza i jego psa, z kończącym film „wysadzeniem świata" miało być ową parabolą. Ten wątek miał niewątpliwie za zadanie spajać cały film rozbity na owe drobne epizody. Jego przesłanie nie przystaje jednakowoż do całości filmu, przerasta przecież jego znaczenia i argumenty. Dzieje się to nawet wtedy, gdy uznamy, że finał ów wprowadzili autorzy pół żartem, pół serio.

EWA NURCZYŃSKA

„POJEDYNEK" TV

Jestem zwolennikiem nowych pomysłów. Nawet gdyby to nie były zupełnie oryginalne pomysły, jak np. program „Wszystko za wszystko", gdyż pierwsze dwa spotkania z Hanuszkiewiczem i Bratnym można uznać za realizacje udane. Jednak pomysł „pojedynku" wzbudza dwojakie opory.

Po pierwsze, dobór zawodników. W założeniu miało być śmiesznie: niedźwiedziowaty Komar i filigranowy Dąbrowski (zastąpiony później przez Łazukę). Wszystko niby w porządku, bo to zabawa. Ale dlaczego bawić ma nas Komar, złoty medalista z Monachium, człowiek, który swoją postawą kilka miesięcy temu dostarczył nam autentycznych wzruszeń. Zyskał naszą sympatię, szacunek, a może nawet podziw.

Starym zwyczajem popadliśmy w krańcowość. Swego czasu psy wieszano na naszym czołowym sportowcu, po igrzyskach wytwarza się wokół niego i innych medalistów sztuczną euforię. I nawet panowie od rozrywki chcą obecnie jego sportowe osiągnięcia zdyskontować ubierając boguduchawinnego zawodnika w kostium telewizyjnego „gwiazdora". Pewne, zagraniczne praktyki przypominają się tu natrętnie, chociaż pryncypialny Avery Brundage jest już na emeryturze i Komar nie musi się obawiać dyskwalifikacji za naruszenie konwencji sportu amatorskiego.

Może ktoś to, co wyżej napisałem uznać za przesadne, ale... W moim przekonaniu w nie najlepszej zabawie, w lichej rozrywce nie powinien chyba mistrz olimpijski partnerować ludziom dla których bawienie innych jest zawodem. Jest to w złym guście i niesympatyczne. Zabawa zabawą, ale nie dajmy się zwariować.

Poza powyższymi zastrzeżeniami trzeba stwierdzić, że było to widowisko zupełnie nie przygotowane. Sam pomysł nie wystarczy, potrzebny jest jeszcze scenariusz. Jeśli założono w nim improwizacje, to autorów jak i telewidzów spotkał zawód. Oczywiście nie można mieć pretensji do „zawodników", że nie byli dowcipni i błyskotliwi. W sumie znów spotkaliśmy się z bylejakością, a prowadzący pojedynek pan B. właściwie bardziej przeszkadzał i drażnił infantylną poufałością w stosunku do zawodników.

Dlatego też nie przekreślając samej idei pomysłu, bo zasada pojedynku; autentycznej rywalizacji zawsze znajdzie swych zwolenników, dedykuję organizatorom konieczność bardziej wnikliwego zastanowienia się nad każdą z rozgrywanych partii. Nad doborem partnerów, nad scenariuszem, nad wykorzystaniem możliwych do przyjęcia pomysłów — bez epatowania telewidzów, wśród których zawsze znajdzie się część dających się nabrać na konkursowe kupony. I to chyba nie jedynie z myślą o wylosowaniu głównej nagrody. Tylko, że to już oddzielny problem, raczej natury socjologicznej.

Zapowiedziano następne „pojedynki", zobaczymy co z nich wyniknie?

Z pogranicza sportu przejdźmy już bardziej serio do sprawy sportowych programów. Ostatnie święta, koniec roku to mimo braku szczególnie atrakcyjnych imprez, prawdziwe żniwa redakcji sportowej. Cały ubiegły rok sportowy przeżyliśmy w pewnym sensie jeszcze raz, przeżyliśmy wielokrotnie. Na pewno miło jest powspominać nasze sukcesy, obejrzeć po raz n-ty jak Deyna strzela Węgrom bramkę, ale... Przesadą można wszystko popsuć. Panowie, ile razy to można oglądać? Czy nie macie trochę litości dla ludzi, którzy, owszem lubią sport, ale na tym ich zainteresowania się nie kończą. A chcieliby na szklanym ekranie jednak coś zobaczyć.

Ostatecznie nie chodzi mi o eskalację sportowych pozycji na koniec roku, to jakoś tam można uzasadnić, ale o normalną praktykę. Trzeba przy tym pamiętać, że pozycje te nadawane są w najlepszym telewizyjnym czasie, kiedy miliony ludzi siedzą przed odbiornikami i często nudzą się potwornie. Bo nawet kiedy nie ma nic ciekawego do pokazania, po prostu nie ma atrakcyjnych imprez, to cały zwykły rytuał musi się odprawić. I zadręcza się wtedy widzów głupstwami, szczególikami, drobiazgami, które mogą interesować chyba tylko kibiców - maniaków. Ale dla nich są przecież gazety codzienne z wynikami, tabelami, punktami i całą matematyką sportowej rywalizacji.

Nie mam tu oczywiście pretensji do dziennikarzy sportowych. Oni robią swoje, wykonują swój zawód i chcą przekazać najwięcej z tego co wiedzą. Ktoś jednak czuwa nad podziałem telewizyjnego czasu i nad zachowaniem proporcji między gatunkowo odmiennymi pozycjami.

JAROSŁAW TARNO

PRZYSZŁY. DOSZŁY?

1. Jakoś tak. Tak sobie. Jesiennie. Przechyla się grudzień, a tu tylko mgła opada na Piotrkowską, żaden śnieg. Mgła opada, mało wyraźnych śladów, mało wyraźnych tropów. Wloką się senne dyskusje. Szybko piwko. Nikt nie wymyśla jurorom od bałwanów, Stanisław Hebanowski otrzymuje brawa, bez gwizdów, kiedy ogłasza, że jury nie przyznało Nagrody Roku. Jeśli sensacje, to bardziej, powiedzmy, z gatunku towarzyskich, niż artystycznych. Bo na Moniuszki — „Piwnica pod Baranami". — Co za publiczność, krzywi się artysta z „Piwnicy". — Tylko im kiwnąć palcem, a już się śmieją. I kiwają panowie artyści palcami, często to robią, po co się wysilać. Śmieją się ludzie — towar z marką, bilety po 60 zł, swoje zadowolenie za taką cenę trzeba mieć.

2. No, dobra, ale co dalej. Gdzie idziemy. W co gramy. Kontestowanie się skończyło, a to tak, jakby nagle chodnik się urwał, albo wysiadł mikrofon przed śpiewającą Ewą Demarczyk. Zadało się parę pytań, w „Spadaniu", „Kole czy tryptyku", w „Senniku polskim". Teraz trzeba by odpowiedzieć na nie, bo wyjdzie na to, że spędzi się resztę życia czekając na speca od mikrofonu, że czas nas niesie, a my czasu nie. A nie my — czas. Dowcipuszki, filozofijki, ponadczasowość, bezmiejscowość, wieje grudniowy wiatr, przemiata nimi jak liśćmi w pasażu koło „Siódemek". Przechodnie depcą po nich, nie zauważając, przechodniów interesuje konkret, a nie uogólnienia; nie takie coś „w ogóle", nawet jeśli ładne, jak „Dążenie" gdańskiego „A". Człowiek sobie popatrzy, pomyśli sobie — jak to zgrabnie wykombinowali.

Rozsypują się małe kuleczki, lecą gdzieś, zatrzymują się w przypadkowych miejscach, ludzie próbują ułożyć je z jakimś sensem, ale to nie to. Jeszcze nie to. Na scenie nieco większe kulki, te same próby — nie, to nie to. I tak dalej. Wreszcie kule coraz większe, jedna całkiem duża, gdzieś o promieniu półtora metra. Zaduma. Tworzymy, rozsypujemy, tworzymy, rozsypujemy. Ale nagle zespół dochodzi jednak do wniosku, że jakiś tam układ dużych kul go zadowala. Więc stop, koniec. Taniec radości, muzyczny finał. Światła...

Dlaczego? Dlaczego właśnie w tym, a nie w innym miejscu zastopował się spektakl, który, zgodnie ze swą ideą, powinien trwać bez końca? Dlaczego młodych ludzi zadowolił ten właśnie układ kul, akurat ta ich wielkość, akurat teraz?

3. Och, nie, na Boga, nie chcę wybrzydzać. Zapewne parę lat temu nie grymasiłbym nad pozakonkursową „Piwnicą", nad „Dążeniem", nad „Podziałami" toruńskiej „Grupy 3", nad krakowskim „TAM" z jego „Niech żyje król i królowa", nad „Kalamburem", chodzącym po desce „Z różnych stron". Zadziwiająca niekiedy sprawność aktorska, a przynajmniej (poza „Jasełkami-moderne" w STG Gliwice, gdzie zamierzenia wyprzedziły możliwości), aktorstwo dostosowane do potrzeb. Świeżość rozwiązań formalnych. Wszędzie bez wyjątku. Ale co z treścią? Nie są nią przecież aluzje z gatunku tych, o których mówi Iredyński w „Jasełkach — moderne", że **„mętne aluzje do współczesności sprawiają zawsze dodatnie wrażenie".**

4. Przy piwie. Facetowi trochę się język plącze, ale mówi do rzeczy.

— No dobra, skończę studia, powiedzmy, że mi się powiedzie. To znaczy kupię sobie wszystko, co trzeba. Mieszkanie cycuś, telewizor kolorowy, „Fiata". No dobra, ale co dalej? System wartości inny trzeba stworzyć. Patrzę na ojca, ma mniej więcej wszystko, łącznie z gablotą. I co z tego? Osiągnął swój ideał, spłacił raty i dopiero teraz ma pustkę we łbie. Wiesz jak się żyje na Zachodzie? Forsa, forsa. Byłem na wycieczce, to wiem. Jasne, że się fajnie patrzy na sklepy, na nocne życie, ale w sklepach, nie czarujmy się, tandeta, a jak coś dobrego, to drogie jak cholera. Aby kupić, trzeba mieć większą forsę. To jest, powiadam ci, obłęd. Mój ojciec u nas poszedł w tę stronę. Co z tego ma? Konsumpcja konsumpcja, ale obok tego musi być idea. Po co się żyje. Jaki się ma cel. A u nas, czy wszystko jest wiadome? Załatwia się to akcyjnie, szkoleniem, ale stary, popatrz, co w życiu robi facet mówiący o moralności socjalistycznej. U nas jest taki jeden, nie wpuści do siebie, do zakładu, ludzi zdolnych, bo się boi konkurencji. Taka kadrowa „pozytywna" eliminacja. Wszyscy o tym mówią, ale nie publicznie, nie na zebraniu. Więc co z takim facetem?

A co z tobą? A co ty? Już przesiąkłeś gadaniem przy piwie? Nie bywasz na zebraniach? Ale nic, idziemy. Na „Szłość samojedną", do „Pleonazmusa". W programie przedstawienia cytują Marię Baster: **„Cieszymy się, że mamy zaangażowane, żywe teatry, ale dlaczego członkowie tych teatrów, zebrani na wspólną dyskusję, milczą jak zaklęci? Nie chcą mówić, czy niewiele mają do powiedzenia? Gdy na spotkaniu zabrakło kierowników kilku teatrów, okazało się, że w zatłoczonej uczestnikami sali nie ma kto dyskutować, „bo o czym i z kim" — padł głos. Głos ten chyba dużo wyjaśnił".**

— Przynajmniej Maria Baster się zdenerwowała — mówię do faceta od piwa. — A ty, stary, kiedy przeprowadzisz samokrytykę?

Idzie już „Szłość".

„Będziemy szli wchłaniając w siebie ją.
Jakgdyby nigdy nic
Jakgdyby nigdy nic będziemy szli".

Zabawa gramatyczna, niewinna z początku koniugacja pospolitego czasownika. Słowo rozrasta się jak hydra, nabiera nieoczekiwanych znaczeń, znaczenia pożerają słowo, pożerają jego nosicieli. Słowo — na początku prosty komunikat, przemiędlone, skandowane, staje się w końcu nic nie znaczącym strzępem. To było o słowie „przyszłam".

— Można też tak ze słowem „zaangażowanie" — myślę, patrząc na faceta od piwa, pełnego dobrych intencji, ale przecież — co z tego. Zacznie walczyć, czy wszystko przegada, przeżali, przepyta? Któż bowiem zaręczy, że i jego ojciec nie miał kiedyś dobrych intencji, które w końcu rozmieniły się w słowach, w rzeczach. Czy i on nie będzie tak szedł, szedł i szedł, aż zapomni dokąd idzie?

„Pleonazmus" nie przecina błędnego koła, nie daje żadnych szans. Opisuje. Ciekawie, odkrywczo, ale tylko opisuje. Można więcej? Można by, nie można, niemoc, niemożność, moglibyście, moglibyśmy, można by, wielmoże, móc...

5. A jednak można. Trochę dalej, trochę więcej. Konkretniej, bliżej, z błędami, ale jednak bez uników. Z „Pasją". Długo się Teatr „77" przymierzał do tego przedstawienia, zdecydował wreszcie ostatniej nocy przed premierą. My z historii, my w świecie, my w socjalizmie. My, ludzie, my — Polacy. Sporo jeszcze w tym zgrzytów, niedomyślenia, jak to i w rzeczywistości, ale już nie tylko portret, już i kierunek poszukiwań. Ludzie i idee. Tu się odpowiada na pytanie „dlaczego jest jak jest". Nie tylko wieloręki, wielogęby moloch, jak w „Szłości samojednej", poraża słowa, idee. Porażają je ludzie. My! I już nie „my" w ogóle, ale my — konkretni. Ja, ty, on. Spójrzcie na siebie, spójrzmy na siebie. Socjalizm „się" nie buduje. Socjalizm budują ludzie.

6. Na tym też skończyły się IX Łódzkie Spotkania Teatralne. Szły, szły. Czy doszły?

Mój facet z piwem ziewa. Ma dość.

Spadł grad. Lecą małe, białe kuleczki.

JERZY KATARASIŃSKI

LUDZIE i DELFINY

Stosunek do człowieka jest jedną z najbardziej interesujących cech delfinów. Bądź co bądź jest to drapieżnik, przedstawiciel tego samego podrzędu uzębionych waleni, do którego zalicza się także „wieloryby-mordercy", uzbrojone w wielkie i ostre zęby. Około czterdziestu gatunków znanych nam delfinów posiada do dwustu zębów! Delfin bez wysiłku może odgryźć rękę. Nawet ostry, twardy „dziób" jest jego groźną bronią ofensywną. Mimo to nie odnotowano ani jednego wypadku, żeby to wielkie zwierzę zaatakowało człowieka. Co więcej, prowadzi się obecnie gorączkowe próby tresowania delfinów, w nadziei, iż w przyszłości uda się stworzyć „mieszane brygady", składające się z ludzi i tych morskich ssaków, przystosowane do prac podwodnych na dużych głębokościach.

PODWODNY GONIEC

Szeroko zakrojone eksperymenty w zakresie „współpracy" ludzi z delfinami prowadzi się już od dłuższego czasu w oceanograficznym centrum badawczym na wyspie Oach, na Archipelagu Hawajskim. Na wodach Przylądka Makappu uczeni skonstruowali specjalny „podwodny dom" do przeprowadzania prób z dużym delfinem o imieniu Makai.

Celem jednego z doświadczeń, które prowadzi pracownik naukowy centrum badawczego, była pasjonująca próba, czy Makai będzie umiał dostarczyć mu z powierzchni wody instrument naukowy na głębokość dwudziestu dwóch metrów. Specjaliści mają bowiem nadzieję, że delfiny uda się przyuczyć do spełniania funkcji gońców podczas prac podwodnych, uwalniając w ten sposób ludzi od potrzeby wypływania z podwodnego pomieszczenia na powierzchnię, czy też schodzenia na duże głębokości.

Przez luk w dnie „podwodnego domu" eksperymentator dał nurka w czarną otchłań głębiny morskiej. Będąc już na określonej głębokości, otworzył kieszeń nieprzemakalnego kombinezonu i wyjął specjalny aparat do nadawania sygnałów, przypominających cykanie świerszcza oraz kilka głowaczy — ryb, będących ulubionym przysmakiem delfinów. Makai znajdował się w tym czasie na powierzchni, w niewielkiej pływającej klatce, pod okiem swego tresera.

Eksperymentator „zacykał", podając sygnał znany już Makaiowi. Teraz czekał, wpatrując się z niecierpliwością w nieprzeniknioną toń oceanu. Nagle z ciemności wyłonił się szary cień! Makai!

„Usłyszałem delikatne mruczenie — opowiada uczony. — Odnalazł mnie błyskawicznie przy pomocy swego dźwiękowego „systemu lokacyjnego". Delfin płynął do mnie, podobny do stalowej torpedy. W odległości około czterdziestu centymetrów od szkła mojej maski zatrzymał się jak wryty. Zahamował bez jakiegokolwiek uchwytnego dla oka ruchu płetw i ogona. Ostrożnie wyjąłem mu z uzębionej paszczy metalowe narzędzie, zawieszone na pasku. Makai obrócił się błyskawicznie i poleciał jak strzała na powierzchnię. Znikł równie tajemniczo, jak się pojawił!".

NIEZWYKŁY SYSTEM

Zagadkową zdolność delfina do precyzyjnego określania miejsca, w którym znajdują się przedmioty, bez posiłkowania się dość słabym wzrokiem, tłumaczy się szczególnym systemem echosondy, który posiada to morskie zwierzę. Nie może z nim konkurować żaden z przyrządów, stworzonych rękami człowieka. W promieniu piętnastu metrów, delfin określa nie tylko położenie przedmiotu, lecz także jego rozmiary, ustala szczegóły jego budowy, a, być może, również szybkość, z jaką się on porusza.

Delfin może przepłynąć, bez posługiwania się wzrokiem, przez najbardziej nawet zagmatwany labirynt przeszkód, nie potrącając ani jednej. Gdy podczas eksperymentu założono delfinowi opaskę na oczy i wpuszczono do wody żywą rybę oraz identyczną z plastyku, bez wahania i nieomylnie wybrał żywą.

Specjaliści uważają, że impulsy dźwiękowe nadają pęcherzyki powietrza, znajdujące się w głowie delfina i są „wystrzeliwane" w wodę z „melonu", to jest tłuszczowego zgrubienia na „czole". Impulsy te „penetrują" znajdujący się przed nim przedmiot. Właśnie ten dźwięk słyszał eksperymentator, gdy Makai zbliżał się do niego. Impulsy „odbiera" dolna szczęka delfina i przekazuje je do mózgu.

Mózg tego zwierzęcia wyróżnia się dużym rozmiarem i złożoną budową, przy czym znaczna jego część jest związana z systemem słuchowym. Przedstawiciel podrzędu delfinów krótkogłowych z Oceanu Spokojnego, o długości 2 i pół metra, posiada mózg, którego waga dochodzi do półtora kilograma. Dla porównania, mózg człowieka o wzroście 180 cm, waży 1,3 kg. Oceniając delfina według „zdolności myślenia", niektórzy uczeni umieszczają go między psem a szympansem.

TOWARZYSKIE, ALE OBRAŹLIWE

Ogólnie przypisuje się delfinom wesołe usposobienie. To prawda, ale obok tego są one drażliwe i bardzo obraźliwe. Niezwykle ważną rolę wśród delfinów odgrywa życie towarzyskie. Nie znoszą samotności, na morzu trzymają się stadami, a w niewoli, izolowane od towarzyszy, tracą dobre samopoczucie i apetyt. W chwilach gniewu biją ogonem po wodzie i groźnie kłapią zębami. Ich gładka skóra, pozbawiona uwłosienia, jest bardzo czuła na dotyk. Stwierdzono, że delfiny nie są obojętne na głaskanie i często łaskoczą siebie płetwami. „Rozmawiając" wydają najprzeróżniejsze dźwięki — pomrukują, popiskują, pogwizdują. Ale najbardziej wyraźny jest zew alarmowy, uprzedzający o niebezpieczeństwie oraz dźwięk, podobny do szczekania psa, który wydają w chwilach gniewu.

Delfin oddycha powietrzem, jak wszystkie ssaki na ziemi. Organy oddechowe, umieszczone na „czole", przykrywają dwa wewnętrzne nozdrza, które przepuszczają powietrze, ale „wyżymają" z niego wodę. Przy pomocy silnych mięśni piersiowych delfin oddycha często i głęboko, pod wodą może przebywać bez trudu 6 minut, po czym musi powrócić na powierzchnię. Małe rodzą się ogonem do przodu, co chroni je od utonięcia, po czym natychmiast wypływają na powierzchnię, żeby chwycić pierwszy oddech. Dojrzały delfin krótkogłowy z Oceanu Spokojnego osiąga 4 metry długości i waży około pół tony. Ssaki te żyją 20—25 lat.

Delfiny dysponują nieprawdopodobnie efektywnym systemem napędowym, który już od dawna wzbudza zazdrość konstruktorów torped i łodzi podwodnych. Poruszają się do przodu przy pomocy uderzeń płetw ogonowych, jednakże ruchy te nie wywołują falowania i nie pozostawiają za sobą nawet śladu jakiejkolwiek wibracji wody. Jeden z uczonych z Oachu ustalił szybkość delfinów krótkogłowych, poruszających się w wodzie na około 30 km/godz. Jest to z pewnością szybkość poniżej maksymalnej.

ĆWICZENIA AKROBATYCZNE

Sprawne, zwinne delfiny bardzo łatwo poddają się tresowaniu. Z początku wyrabia się w nich umowny odruch na gwizdek. Zwierzęta przyucza się, że po każdym gwizdku treser rzuca im do wody rybę. Po trwałym skojarzeniu dźwięku gwizdka z pojawieniem się pożywienia, treser przechodzi do uczenia go innych reakcji na gwizdek, na przykład wyskoków z wody. I tak dalej. Po miesiącu nauki zdolny uczeń przechodzi „kurs" oswajania i bardziej złożonych ćwiczeń akrobatycznych: podrzucania piłki nosem, łowienia plastykowych obręczy, przynoszenia rzucanych do wody przedmiotów itp.

W centrum badań podwodnych w San Diego, atlantycki delfin, samiec o imieniu Taffi, na dany sygnał pogrąża się na określoną głębokość, gdzie naciska „nosem" specjalny guzik, wyłączając sygnał. Po wykonaniu tego zadania Taffi płynie jak torpeda na powierzchnię i wydmuchuje powietrze do naczynia napełnionego wodą, umieszczonego 30 cm pod powierzchnią morza. W ten sposób można badać powietrze wydychane przez delfiny, powracające z różnych głębokości oceanicznych. Podczas tych eksperymentów Taffi wykonał 370 zanurzeń, nieraz na głębokość 300 metrów. Delfin tak dalece upodobał sobie to zajęcie, że natychmiast po wypuszczeniu go z podwodnej klatki kierował się do miejsca wykonywania eksperymentów, płynąc tuż za łodzią tresera.

Gdy człowiek zbyt szybko wypływa z głębokości ponad 10 metrów, jego krew „gotuje się" pęcherzykami wydzielającego się azotu, co powoduje ciężką, często śmiertelną „chorobę kesonową". Jednakże Taffi, po wypłynięciu z każdej głębokości, czuł się doskonale. Wykonane zdjęcia podwodne wykazały, że na głębokości ponad 10 metrów jego klatka piersiowa zaczynała się zmniejszać. Wskazuje to, iż posiada ona naturalną właściwość zmiany objętości, a płuca ogromną elastyczność.

Analizując to zjawisko, uczeni doszli do wniosku, że dzięki zmniejszaniu się objętości klatki piersiowej powietrze zostaje „wytłoczone" z pęcherzyków płucnych. W konsekwencji do krwi delfina trafia tylko bardzo nieznacza ilość azotu, która nie może wywołać groźnej „choroby kesonowej". Odkrycie to ma ogromne znaczenie naukowe i praktyczne.

W laboratorium morskim w Sarasate przeprowadzono próby z delfinem o imieniu Saimo. Nauczono go na dany sygnał odstraszać rekiny. Specjaliści uważają, iż w niedalekiej przyszłości będzie można przyuczyć delfiny do wykonywania funkcji „psów obronnych" podczas prac podwodnych.

Tak więc delfiny pomagają ludziom, ale same potrzebują pomocy człowieka. Mięso delfina jest jadalne. Japończycy trzebią tysiące delfinów rocznie, zabijają je masowo na Nowej Gwinei, Wyspach Salomona, w Turcji i szeregu krajach Ameryki Łacińskiej. W niektórych państwach zabroniono polować na delfiny. Ale ponieważ „sąsiadują" one bardzo blisko z tuńczykami, zawsze grozi im śmierć. Jak obliczają specjaliści, około 250 tys. delfinów rocznie ginie w sieciach rybaków, polujących na tuńczyki.

Amerykańscy uczeni — jak donosi „The Reader's Digest" — przeprowadzili ostatnio bardzo obiecujące eksperymenty: utrwalili na taśmie magnetycznej sygnały głosowe najgroźniejszego wroga delfinów — „wieloryba-mordercy" i wykorzystali ten zapis do wypłaszania delfinów z sieci. Próby zastosowania tego urządzenia zakończyły się pomyślnie, kładąc kres przypadkowej śmierci tych pożytecznych ssaków wodnych.

Oprac. J. CZECH

ŁODZIANIE 1972
(KUPON PLEBISCYTOWY)

1. Leon Gomolicki	
2. Paweł Kowalski	
3. Zofia Mitukiewicz	
4. Leszek Rózga	
5. Stefania Skwarczyńska	
6. Bogusław Sochnacki	
7. Ryszard Stanisławski	
8. Jerzy Werner	
9. Zdzisław Wyrzykowski	
10. Aleksander Zwierko	

Nazwisko i imię . . . . . .

Adres . . . . . .

Zawód . . . . . .

NIEZWYKŁA RODZINA

Kabylia jest górzystą krainą położoną w północnej Algierii na obszarze Atlasu Tellskiego.

Zamieszkują ją w głównej mierze Kabylowie, lud berberyjski, Berberowie zaś to grupa ludów chamito-semickich, a język berberyjski znany również jako libijski posiada współcześnie kilka dialektów, z których jednym jest kabylski. Kabylia znana jest z uprawy figowca, jęczmienia, a zwłaszcza oliwek. Kwitnie tu rzemiosło artystyczne, a garncarstwo uprawiane niemal wyłącznie przez kobiety, ma swe ciekawe, dawne tradycje. Po wsiach zachowały się jeszcze stare obyczaje, obrzędy, usłyszeć można dawne legendy i pieśni, stare śpiewy Berberów. To, że znane są po dziś dzień dobrze owe pieśni nie tylko w Kabylii ale i w Europie, a zwłaszcza we Francji, zawdzięczamy pewnej wyjątkowo uzdolnionej rodzinie kabylskiej o nazwisku Amrouche.

Niedawno, bo w grudniu 1972 roku telewizja francuska nadała filmowy reportaż-wywiad z pieśniarką i poetką Taos Amrouche od wielu lat współpracującą z radiem francuskim.

Dziś Marguerite Taos Amrouche opowiada jak się to stało, że zna i śpiewa te pieśni. To jej matka troszczyła się o to, aby nie zaginęły, to ona inspirowała i namówiła swe dzieci do zajęcia się owymi skarbami folkloru.

— Moja matka — mówi Taos Amrouche — śpiewała przez cały dzień: reperując odzież, zajmując się sprawami gospodarskimi, opłakując nieobecnych.

Zwłaszcza w chwilach wielkiego smutku matka śpiewała i to pozwalało ukoić cierpienia. Brat Marguerite'y, Jean Amrouche, francuski poeta zmarły przedwcześnie, tak opisywał śpiew swojej matki (cytuję w przekładzie Marii Kindler):

„Nie potrafię wyrazić, jak wielką moc wstrząsania wyobraźnią i wywoływania wizji ma jej głos. Ona sama nie jest tego świadoma, a te śpiewy nie są dla niej dziełami sztuki, lecz duchowym narzędziem, którym się posługuje, tak jak warsztatem tkackim, moździerzem, żarnami czy kołyską. Jest to głos delikatny i prawie bezdźwięczny, bardzo kruchy i bliski załamania. Jest trochę drżący i z każdym dniem coraz bliższy milczenia, z latami jego drżenie wzrasta. Głos ten nigdy nie wybucha, niczego nie podkreśla, nie dąży do ekspresji. W matce mojej wszystko jest przytłumione i nie uzewnętrznione".

Głos ten, głos Fadhmy Amrouche zamilkł kilka lat temu. Fadhma zmarła w wieku lat osiemdziesięciu pięciu w roku 1967. Ale wiemy o niej dużo. Od niej samej i od jej dzieci. Pozostawiła bowiem pamiętnik, dokument ciężkiej drogi życia od momentu niemal urodzin, gdy przyszła na świat jako dziecko nieślubne pewnej wdowy Kabylki, aż prawie do końca swych dni. Książka Fadhmy Aith Mansour Amrouche dostępna jest polskiemu czytelnikowi. Napisana po francusku pt. „Histoire de ma vie" (Dzieje mojego życia) została przetłumaczona na język polski przez Marię Kindler i wydana w PIW w roku 1971. Opowieść Fadhmy poprzedzają: wstęp Elżbiety Reklajtis, przedmowa wybitnego współczesnego pisarza algierskiego Kateba Yacine'a, list Jana Amrouche do swej matki i list Fadhmy do syna Jana.

Córka Fadhmy Taos, urodzona w roku 1913 poetka i pieśniarka napisała także swą autobiograficzną opowieść pt. „Rue des Tambourins" (Ulica Tamburynów) wydaną w Paryżu w roku 1960, w której nakreśliła sugestywny obraz swej matki Kabylki, która choć przyszłość swych dzieci widziała w przejęciu przez nich kultury francuskiej, a nawet przeniesienie się do Francji, lecz zawsze mocno kochała swą kabylską przeszłość, często odwiedzała swe rodzinne strony, zawsze do nich tęskniąc i na zawsze chciała zachować skarby rodzinnego folkloru.

Nosząca początkowo imię Maria Ludwika Taos, przyszła pieśniarka i poetka (ochrzczona przybierze imię Marguerite, zachowując kabylskie Taos) Amrouche otrzymuje wykształcenie w szkołach francuskich w Tunezji, jakiś czas pracuje jako wychowawczyni w internacie, a od roku 1936 przenosi się do Francji, gdzie pozostaje już na stałe. Celem jej życia staje się kultywowanie i dalsze zbieranie pieśni berberyjskich. Jej brat poeta, autor poematu „Gwiazda tajemnicza", przekłada na język francuski „Śpiewy berberyjskie Kabylii". O swej siostrze powie później (cytuję za Marią Kindler):

„Od czterdziestu lat żyjąca poza krajem rodzinnym, codziennie, jak niegdyś jej matka, od której przede wszystkim przejęła dziedzictwo tych pieśni, na skrzydłach śpiewu, głosi, w samotności, swoje posłanie umarłym i żywym. Jest z rodziny natchnionych śpiewaków i czasami opowiada o matce i braciach, o tym, jak cała wieś słuchała w milczeniu ich śpiewu, który rozchodził się po uliczkach. Zebrała pieśni rodzinne kraju Zouaoua, a także pieśni z Aith-Abbas, kraju mojego ojca, do tego doszło kilka pieśni z Aith-Aydel..."

Dziwnie brzmiące nazwy miejscowości. Daleka i tajemnicza dla nas Kabylia... Jak płynęło tam życie codzienne? Jakie panowały obyczaje? Jakie było życie Fadhmy Amrouche? Tego dowiadujemy się z jej książki-pamiętnika, który zaczyna się od najmłodszych lat dziecinnych, poprzez pobyt we francuskich szkołach lub w szpitalu, gdzie pracowała. Potem zamążpójście, równoczesny ze ślubem chrzest, później lata ciężkiej pracy, rodzenie dzieci, troski o nie, lata pobytu w Tunisie, wreszcie wyjazd do Francji, dzieje ośmiorga dzieci, z których do dziś żyje tylko dwoje.

Życie Fadhmy, ona sama, jej rodzina wystąpią jeszcze raz na kartach książki, tym razem w opowieści autobiograficznej Marguerite Taos Amrouche pt. „Rue des Tambourins" (Ulica Tamburynów). Podkreśli w niej znacznie mocniej niż uczyniła to jej matka, artystyczną wrażliwość i uzdolnienia rodziny, prostolinijny charakter matki, jej życiowy hart, dumę, jej trudne kształtowanie się duchowe na przecięciu się dwóch ognisk cywilizacyjnych: kabylskich tradycji i kultury francuskiej przyniesionej przez ówczesnych kolonizatorów, różnorodne oddziaływania islamu i katolicyzmu.

Marguerite Taos Amrouche zachęcona niegdyś przez matkę po dziś dzień kultywuje berberyjskie pieśni. Otrzymała Wielką Nagrodę Etnologii w dziale muzyki przyznaną jej przez Académie du Disque francais. Występowała z kabylskimi pieśniami w tragedii współczesnego pisarza Algierii, Kateba Yacine'a. Odbywa wiele koncertów, nagrała szereg płyt.

Tak się złożyło, że Marguerite Taos Amrouche i jej pieśni możemy poznać i w Łodzi. Śpiewa bowiem w wyświetlanym na naszych ekranach filmie J.—L. Bertuccelliego pt. „Gliniane szańce", którego bohaterami są mieszkańcy pewnej wioski tunezyjskiej.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEOZŁOŚĆ teraźniejszość

HISTORYK ZAPOMNIANY

Jak często najciekawszymi okazują się wiadomości, które są dla nas niespodzianką? Historyk, który zajmuje się dziejami myśli historycznej, nie może oprzeć się ciekawości, kiedy całkiem przypadkowo (bo z tekstu umieszczonego na... okładce płyty gramofonowej) dowiaduje się, że wielki niemiecki uczony z ubiegłego wieku, historyk i filozof, któremu winniśmy wprowadzenie pojęcia hellenizmu, Johann Gustav Droysen w młodości pisywał wiersze. Drukował je pod pseudonimem Vöss'a, czynił więc inaczej niż młody Karol Marks, którego poetyckie próby pozostały w szufladzie, póki nie ujawnił ich ktoś z rodziny. Do utworów J. G. Droysena komponował pieśni jego przyjaciel, wielki (w przyszłości) kompozytor Felix Mendelssohn-Bartholdy; są one (pieśni, nie wiersze) i dziś całkiem interesujące.

Była to reminiscencja świąteczna, teraz zaś kolej na coś poważniejszego. Ostatnie dni przyniosły mi jeszcze jedną, ważniejszą niespodziankę. Otrzymałem kserograficzne odbitki z kilku prac Juliana Marchlewskiego dotyczących historii Polski, nie wznawianych od niemal czterdziestu lat i zupełnie zapomnianych. Wydawałoby się, że dziś nie znajdzie się w nich wiele nowego, tymczasem okazuje się, że jest wręcz przeciwnie. Naukowy dorobek J. Marchlewskiego znamy zadziwiająco źle. O jego rozprawie doktorskiej o polskich fizjokratach wiemy wszyscy, mało natomiast komu wiadomo, że była ona zaledwie początkiem studiów autora nad dziejami Polski, badań zakrojonych szeroko, prowadzonych bynajmniej nie po amatorsku, ale zgodnie ze wszystkimi regułami postępowania naukowego, studiów, których wyniki są tyleż interesujące, co niemal zupełnie nieznane nawet specjalistom od dziejów ruchu robotniczego. Wielostronna aktywność rewolucjonisty przesłoniła jego dorobek jako historyka...

Polski komunista Stanisław Bobiński na wstępie do szóstego, przedostatniego tomu zbioru pism J. Marchlewskiego, ogłoszonego w Moskwie w 1931 r. podkreślał, że historia Polski była drugą wielką pasją rewolucjonisty. Poświęcał on jej wiele czasu i wysiłku, „dla swojej pracy naukowej przerobił ogromną masę materiału, wielokrotnie przerastającego swoim ogromem to, co z niej znalazło swój pisarski wyraz w jego twórczości". Praca ta nie ograniczała się jedynie do nowożytnych dziejów Polski, ale sięgała daleko wstecz, aż do początków kształtowania się naszej państwowości. J. Marchlewski wykazywał w niej nie tylko znakomite oczytanie w źródłach i różnojęzycznej literaturze, ale — i to jest najistotniejsze — świadomie zmierzał do stworzenia naukowej syntezy dziejów polskich, opartej o światopogląd marksistowski i marksistowską metodologię badania historycznego. Aby w pełni ocenić znaczenie dorobku J. Marchlewskiego w tym zakresie nie wystarczają kompetencje, choćby najwyższe, historyka ruchu robotniczego XIX i XX w. czy badacza dziejów nowożytnych, bowiem trzeba tu wkroczyć całkiem poważnie w dawniejsze epoki dziejów polskich i uporać się z ogromem specjalistycznej literatury.

W 1931 r. po raz pierwszy i jak dotąd ostatni opublikowano w przekładzie na rosyjski nieukończone dzieło J. Marchlewskiego „Zarys historii Polski". Było ono pisane w latach 1916—1917 po niemiecku i nigdy nie zostało ukończone; autor zdołał je doprowadzić tylko do połowy XVI wieku. Powoli wczytuję się w trudny, nasycony historycznym konkretem tekst tej pracy, śledzę wielostronne polemiki, jakie autor prowadził w nim z polską i obcą historiografią... Ciekawe, że mimo, iż od napisania tych kart upłynęło wiele lat, znajduję w nich koncepcje, które jeszcze dziś mogą być płodne dla historyka. Śledzę wzorową krytykę polskich legend historycznych i wysiłek badacza, aby odnaleźć w nich źdźbło prawdy, zatrzymuję się dłużej przy polemice, jaką, J. Marchlewski przeprowadzał z licznymi uczonymi europejskimi w sprawie autochtonizmu plemion słowiańskich na ziemiach polskich, i wreszcie dyskusji, jaką w sprawie pochodzenia polskiej szlachty podjął on z profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego Franciszkiem Piekosińskim. Daleko mi jeszcze do pełnego zgłębienia tego tekstu, który jest zresztą przygotowywany do publikacji przez jednego z mych młodszych kolegów, ale uderza mnie wysiłek, którego podjął się człowiek, który na pewno nie narzekał na nadmiar czasu, ogrom oczytania w literaturze, po którą sięgał nie każdy zawodowy nawet historyk. Śledzę historyczne interpretacje J. Marchlewskiego i znajduję wiele, które antycypowały późniejsze o wiele lat propozycje naszej współczesnej już nauki historycznej...

Czas najwyższy, aby przypomnieć dorobek J. Marchlewskiego jako historyka, czas, aby upomnieć się o należne mu miejsce w dziejach polskiej marksistowskiej refleksji historycznej, o której wiemy wciąż zbyt mało i w związku z tym nieuchronnie nie potrafimy dojrzeć jej właściwego znaczenia. Nie będzie to praca łatwa, ale wykonać ją trzeba, tak jak niezbędne jest uprzystępnienie wszystkich ważnych tekstów historycznych rewolucjonisty, których zbyt wiele pominięto w wydanym u nas przed laty wyborze jego pism. Dobrze, że ostatnio zabrano się już do tej pracy. Edycja moskiewska pism J. Marchlewskiego jest u nas wielkim bibliograficznym rarytasem. Sam nawet nie miałem owego cennego, szóstego tomu, w ręku w edycji oryginalnej; dysponuję odbitkami kserograficznymi, sporządzonymi z... fotokopii. Podobnie zresztą, jak ten historyk, który zajął się zbadaniem poglądów J. Marchlewskiego na dzieje Polski.

LEKTOR

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

ZdarzeniA • I • ZwierzeniA

INWENCJA – ZNACZY POMYSŁOWOŚĆ

Brak inwencji jest w twórczości rzeczą przykrą. Jeśli na domiar złego brakowi inwencji towarzyszy brak znaczącego nazwiska — sprawa zaczyna się robić pochyła. Dlatego też różnego rodzaju Kornholdy i Kornhauseny wjeżdżają do literatury na barkach pisarzy tej miary, co Tadeusz Nowak... W swoim czasie, bliżej wówczas nieznany polonista Stanisław Barańczak, wjechał do literatury na barkach Kazimiery Iłłakowiczówny... Ostatnio nieznany krytyk, którego nazwiska nie pamiętam, przejechał czołgiem po poezji Aleksandra Rymkiewicza...

W ten sposób, brutalnie, zwracając uwagę wchodzą ludzie do literatury. Metoda jest stara jak świat i trudno mieć coś przeciwko jej stosowaniu. Pod warunkiem wszakże, iż atakując uznane wartości proponuje się wartości nowe. Stanisławowi Barańczakowi, jak sądzę, wcale nie był potrzebny ów atak na sędziwą poetkę, bowiem miał w zanadrzu treści i przemyślenia rzeczywiście nowe. Lata następne pokazały, że ma on do powiedzenia coś istotnego — niezależnie od tego, czy się ktoś z nim zgadza czy nie. Po cóż więc było to krzykliwe „entree"? Ano — taki obyczaj.

Polscy futuryści wchodzili w latach dwudziestych do literatury z okrzykiem „będziemy szczać we wszystkich kolorach", takie bowiem hasło otwierało wydawaną przez nich gazetkę — plakat. Julian Tuwim epatował publiczność „Warszawki" swoją głośną „Wiosną", w którym to wierszu skandalizował, jak na owe czasy, bardzo śmiało. Wołał tam bowiem:

„Wiosna! Patrz co się dzieje! Toć jeszcze za chwilę
I rzuci się tłum cały w rui na ulicę!
Zośki z szwalni i pralni, Ignace, Kamile!
I poczną sobą samców częstować samice..."

Jak na rok 1915 był to wiersz istotnie skandaliczny.

Dziś młodzi poeci z „Nowego Wyrazu" częstują publiczność opisami czynności fizjologicznych, u zwierzając się w czym to są aktualnie unurzani. („Unurzany we własnej spermie" — patrz „Nowy Wyraz", autora nie pamiętam).

Czyli wszystko jak było. Metody zdobywania publiki są wciąż te same — słownictwo tylko inne i inne „stare konie", na których wjeżdża się do literatury. Stanisław Brzozowski wjeżdżał na Sienkiewiczu, atakując go za konserwatyzm. Kornholdy i Kornhauseny wjeżdżają na Tadeuszu Nowaku, atakując go za to samo. Ale to nie to samo.

Przyznam się, że zbytnio mnie nie gorszy takie zdobywanie rynku. Więcej niepokoju budzi we mnie brak inwencji u piszących. Nie mogę na przykład zrozumieć, dlaczego tak świetny poeta i dramaturg jak Ernest Bryll podkradł tytuł „Co się komu śni". Parę lat temu książkę pod tym tytułem napisał Andrzej Mularczyk, dostał za nią nagrodę „Polityki", rzecz miała dwa wydania — była głośna. Ostatnio jednak czytam, że Bryll wystawia sztukę pod tym tytułem...

„Co się komu śni" jest tytułem intrygującym, posiada walor metafory. Mogę zrozumieć, że ktoś pisze książkę pt. „Intruz" w 20 lat po napisaniu „Intruza" przez Wiliama Faulknera; jest to w końcu tytuł prosty, ale „Co się komu śni"? Brak inwencji u Brylla? Aż mi się wierzyć nie chce...

Na brak własnych pomysłów cierpi także często pewien reporter z „Literatury". W swoim czasie powtórzył jak za panią matką, za Karolem Badziakiem temat głośnego reportażu z „Odgłosów" pt. „Kardas story". Jak widać „Odgłosy" służą reporterowi bowiem ostatnio poszedł tropem Andrzeja Makowieckiego, powtarzając za nim temat reportażu o okradaniu pociągów przez mieszkańców wsi Marchewki. Oczywiście temat nie podlega ochronie prawa autorskiego, ale tyle się w Polsce zdarza kradzieży i mordobić, że chyba nie warto odkrywać takich tematów przy pomocy innych czasopism.

Nie rozdzieram jednak szat „Krzyżaków" napisał Sienkiewicz i „Krzyżaków" napisał Kraszewski. Między „Zwierciadłem morza" Conrada a „Milczeniem morza" Vercorsa niewielka jest skala innych możliwości. Czasem, chcąc nie chcąc, wchodzimy na czyjeś ślady. „Zielone wzgórza Afryki" napisał Hemingway i „Zielone wzgórza" napisał Andrzej Bartyński z Wrocławia, który w Afryce nie był... Co tu zresztą pisać — nie dawno odkryłem ze zdumieniem, że tytuł tej rubryki jest także pożyczony. Parę lat temu Jan Huszcza wydał książkę pod takim tytułem. Wrzucam więc kamyczek i do własnego ogródka.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

BAŻANTY W OKULARACH

Kilka lat temu pisałem o tym, że spod tynków i wielowarstwowych napisów na ścianach domów w naszych miastach wciąż wyłażą nie dające się zatrzeć litery wcześniejsze, jakiś „Radion sam pierze", jakieś „trzy razy tak", jakaś tęcza kolorów nad prahistorycznym wejściem do mydlarni. Pisałem też o tym, że z ogromnych, a kosztownych reklam, malowanych na szczytach naszych kamienic, zostają po roku szmatławe, brudne i nieczytelne plamy, a mój pięknie na różowo pomalowany dom po miesiącu był cały pokryty liszajem, zaciekami, czarną ospą. Cóż to się stało z jakością i trwałością farb?

Otrzymałem wtedy telefon oburzonego pana ze zgierskiej (o ile pamiętam) wytwórni farb i lakierów z żądaniem, żebym mu pokazał ten spaprany (a miał być „odnowiony") dom. Podałem adres prosząc jednocześnie, żeby idąc w tę stronę lub w jakąkolwiek inną patrzył na ściany domów, będzie miał od razu setki adresów, ilustrujących tę samą sprawę: żadną trwałość farb. Telefonów więcej nie było.

Przed miesiącem wykopano w Warszawie rurę kanalizacyjną sprzed stu lat — nie było na niej ani śladu rdzy. Jestem pewien, że nad problemem rdzewienia rur pracuje dziś w kraju potężny instytut naukowy, dwa tuziny laboratoriów przyzakładowych, setka pracowni badawczo-kontrolnych, poza tym biuro wzornictwa, biuro projektowania, centrala wdrażania i ośrodek dokumentacji. Ale rury psia kość rdzewieją tak, że w mojej — pardon — ubikacji zalepiam je plasteliną, okręcam cementowanym bandażem, nie nadążam z wymianą kolanek. Ileż tedy instytutów musiało funkcjonować przed wiekiem! Jak szkoda, że ich cały dorobek pochłonął kosmiczny potop, że gdzieś się nagle to wszystko zapodziało i znów musimy wszystko odkrywać na nowo!

Podobno na jakimś sympozjum architektów w Warszawie dyskutowano projekt hotelu o stu dwudziestu pięciu piętrach w górę i siedmiu — w głąb ziemi. Całość miałaby pół kilometra wysokości i zmieściłaby czterdzieści tysięcy ludzi. Na szczęście — dyskutowano nie po to, żeby zaraz budować, tylko żeby dowieść, że jak zechcemy, to możemy. Taką mamy „myśl architektoniczną", „myśl budowlaną", „myśl elementów prefabrykowanych, ogrzewczą, wodkan, dźwigową-bezszmerową" i kilka innych. A jest i taka myśl — bardzo osobista, fachowa, rzeczowa — profesora Janusza Goryńskiego, że różne elementy domu mieszkalnego mają różną długowieczność, jedne trzeba wymieniać często, inne rzadziej. A tymczasem wznosi się tysiące budynków z całą armaturą rur, rurek, kabli, ukrytych wewnątrz prefabrykowanej betonowej płyty. Jak zardzewieje kolanko — trzeba pruć całe ściany, żeby znaleźć miejsce przecieku. A właśnie taki betonowy element rdzewieje i nie da się wymienić nigdy. Z czego wynika, że w takich domach nie będzie już można z pięciu sklepików zrobić salonu skarpetkowego, ani tuzina M-3 adaptować do potrzeb jeszcze jednego biura. Nikt nigdy żadnych drzwi nie wybije. Może je sobie najwyżej wybić z głowy...

Piszę te słowa pod akompaniament wiatru, gwiżdżącego za oknem. Czasem po nogach powieje, ale to nic. Widziałem biuro, w którym z jednej strony korytarza urzędniczki wachlują spocone czoła aktami „do załatwienia", a z drugiej — siedzą w paltach i okręcają szyje szalikami. Nie działają kaloryfery? Owszem działają akurat bez zarzutu. Tylko, wie pan, wiatr dzisiaj z tej strony...

I rzeczywiście. Zapałki nie można zapalić w pokoju o zamkniętych oknach i drzwiach. Korytarzem do dyrektora idzie się szybko, bo z wiatrem, wraca się wolno, bo pod wiatr. Podobno specjalna spółdzielnia uszczelniała „otwory" i coś jej nie wyszło, może nie byli przeszkoleni albo nie mieli pracowni doświadczalnej. Na szczęście wiatry zmieniają kierunek i jakoś się złość ludzka rozkłada na różne pokoje.

Zresztą na złość znaleziono już świetny sposób. Oto pewien hodowca bażantów zakłada swoim złotopiórym samczykom czerwone okulary na ślepka i momentalnie przestają się czupurzyć. Musi to być prawda, skoro pisał o tym „Głos Robotniczy". A jeśli bażantom pomaga, to cóż dopiero mówić o urzędnikach!

Założymy różowe okularki i spokojnie dożyjemy do renty.

ĆWIEK

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 13. T-4.